ŚWIAT 1 ZŁ

Nr. 3
20 STYCZNIA 1934 R.


Lilian Harvey

Fot. Ufa

W numerze:

Jan Lorentowicz:
Pierścień wielkiej damy
●
Emil Młynarski:
O Pawle Kochańskim
●
Z. Norblin-Chrzanowska:
Twórczość W. Drabika
●
Bruno Winawer:
Feljeton
●
N. Drucka:
Z życia dworów
●
Tydzień „Świata"
●
Świat gospodarczy. Literatura. Teatr. Mody. Sporty zimowe

»ŚWIAT« REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Szpitalna 12
Tel. Redakcji 210-87. Tel. Administracji 504-00

PREMJA „ŚWIATA"

I-sze PREMJUM:

Do numeru dzisiejszego załączamy jako nadzwyczajne **premjum dla stałych prenumeratorów** reprodukcję litografji znakomitego grafika polskiego JÓZEFA TOMA, przedstawiającą **portret króla Jana Sobieskiego.**

II-ie PREMJUM:

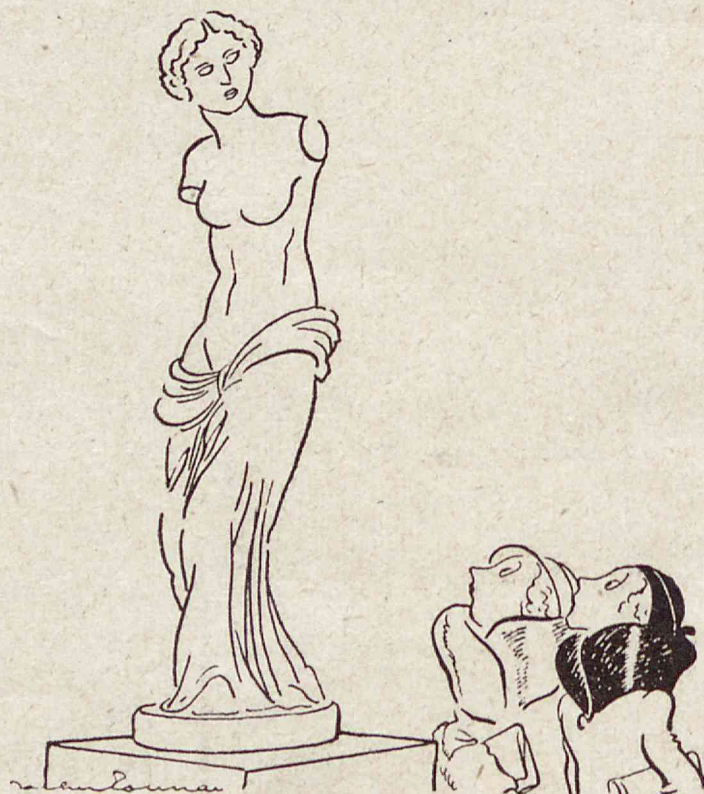
Dla udostępnienia korzystania naszym prenumeratorom i czytelnikom z koncertów, weszliśmy w porozumienie ze Stowarzyszeniem Artystów Orkiestry Filharmonji Warszawskiej i uzyskaliśmy **50% zniżki na wszystkie koncerty,** organizowane przez to Stowarzyszenie. Pierwszy kupon, upoważniający do korzystania z tej zniżki i odpowiednie objaśnienie znajdą czytelnicy na 3 stronie okładki, obok kuponu zniżkowego do Teatrów Miejskich w Warszawie.

Od dnia 1-go stycznia 1934 r. wszystkim prenumeratorom „Świata", wnoszącym z góry opłatę za cały kwartał I-szy, przysługuje 10% rabatu. Prenumeratorom kwartalnym, którzy już dokonali wpłaty, ta dziesięcioprocentowa bonifikata zaliczona zostanie na poczet opłaty za kwartał II. W ten sposób prenumerata kwartalna „Świata" wynosić będzie: w Warszawie — 13.50 zł., z odnoszeniem do domu 15.00 zł., na prowincji 16.50, zagranicą 21.60.

Każdy numer „Świata" zawiera kupon, dający prawo do 50% zniżki do b. Teatrów Miejskich

„ŚWIAT" rozchodzi się na całą Polskę: od Bałtyku po Karpaty i od Wileńszczyzny po Śląsk. A więc ogłoszenie w „Świecie" dociera do wszystkich

NOWOCZESNE PANNY W MUZEUM STAROŻYTNOŚCI



— Co ona takiego przeskrobała, że skazali ją na ucięcie rąk?

ŚWIAT

POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM LEONA CHRZANOWSKIEGO
ROK XXIX • NR. 3 • DNIA 20-go STYCZNIA 1934 ROKU
(ZAŁOŻYCIEL STEFAN KRZYWOSZEWSKI)





JAN LORENTOWICZ

„Pierścień wielkiej damy"

(Nieznana komedja C. Norwida)

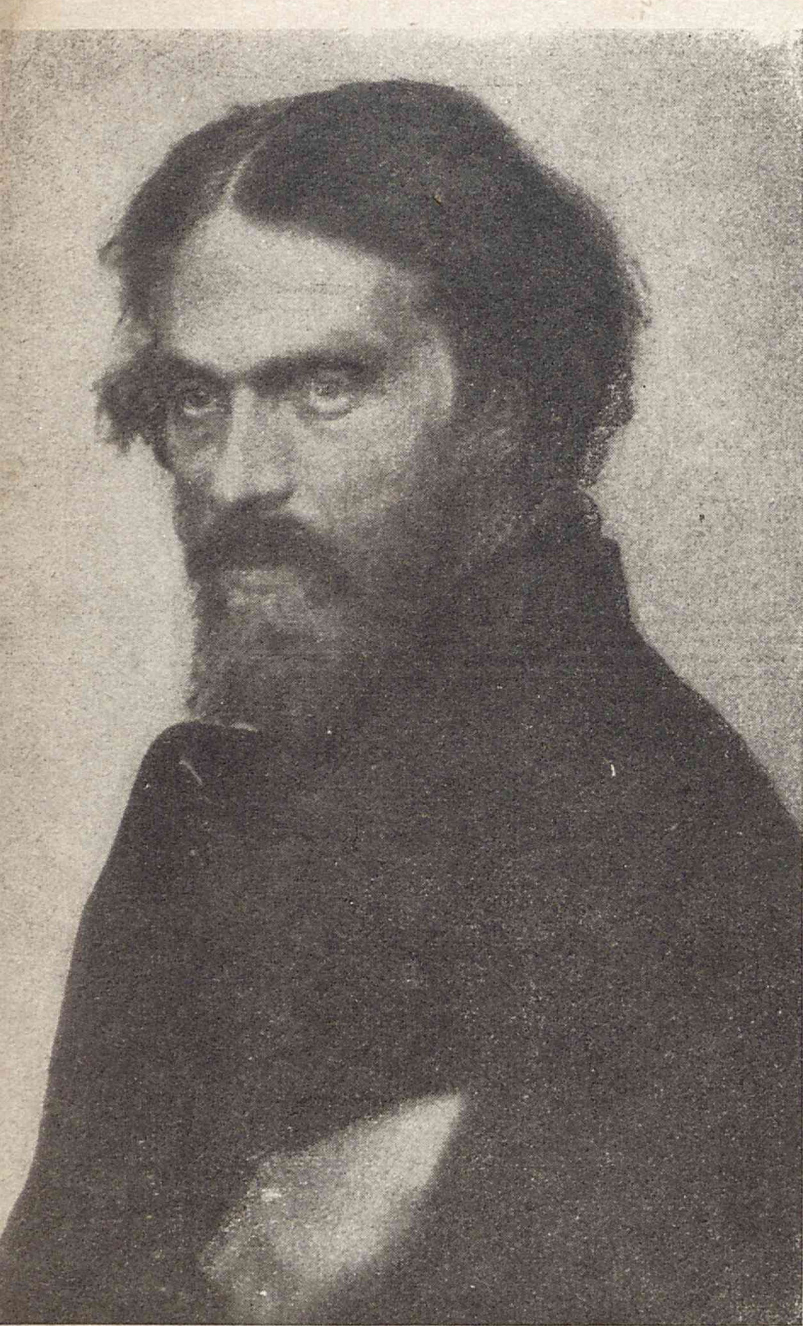
Miriam zdecydował się na krok niespodziany: w odpowiedzi na zarzuty niecierpliwców, iż zbyt długo przetrzymuje u siebie zbierane od lat czterdziestu „disjecta membra" twórczości Norwida, ogłosił nagle w trzech oddzielnych tomach jego „Inedita" [1]). Jeden tom zawiera „*Resztę wierszy* odszukanych po dziś a dotąd niedrukowanych", drugi — „Rozprawki epistolarne", trzeci — komedję (lub jak chce autor „białą tragedję") p. t. „Pierścień wielkiej damy". Pozostała jeszcze w manuskrypcie korespondencja poety.

Teraz już będzie koniec płaczliwym legendom o „pozbawianiu narodu jego własności duchowych", o które ten naród tak mało się troszczył za życia poety. Wydawca, który tyle lat poświęcił zbożnemu docieraniu do głębi natchnień Norwida, podaje dziś resztę zgromadzonych „Ineditów" bez swych świetnych zazwyczaj i wyczerpujących komentarzy. W postawie tej mieści się pewna doza złośliwości wobec „polonistów": wyjaśniajcie sobie teksty sami!...

Należy przypuszczać, że najskwapliwiej pochwycą „Pierścień wielkiej damy", bo znajdą w nim żywą pobudkę do zestawień i domysłów. Łatwo określić zdołają, że główne postacie tej komedji — to bohaterowie katastrofy niepodzielonej miłości Norwida, katastrofy, która tragicznie złamała mu życie i która w trzydzieści lat po „odmowie" nie przestaje go nękać. Ustalą bez trudu, że hrabina Marja Harrys — to Marja Kalergis; że Magdalena Tomir — to jej i Norwida przyjaciółka — Marja Trembicka, późniejsza Felicjanowa Faleńska; że Mak-Iks i graf Szeliga — to rozszczepienie duchowej postaci samego poety na dwie odrębne, chociaż pokrewne figury komedji.

I nic nie pomogą wstępne zastrzeżenia Norwida, iż szło mu „o rzecz niesłychanie od wszelkiego osobistego poglądu oddaloną"; że chciał spróbować „nowego tragedji rodzaju" a mianowicie: „ażeby tragiczność, nie dochodząc do zgonów i do wylania krwie, dawała *Tragedję Białą*". Chodzi poecie o dzieła dramatyczne, „któreby niemniejszy dla osobnego *czytania* i dla *gry scenicznej* przedstawiały interes". Uważa, że „dziś niedość jest ubawić na chwilę niemających co począć z wieczorem jednym gości, ani też i tak zwane *fantastyczno-filozoficzne* pisać dramata, częstotliwie raczej niedokończone, niżli głębokie". Jasnem jest dla poety moralne zadanie nowego rodzaju sztuki dramatycznej. „Mniemam, — mówi — iż strona *święta, budująca, religijna* starożytnej tragedji nie ustała wcale, ani może ustać; ale, że gdzieindziej pośród utworów dramatycznych główne obrała miejsce swoje. Myślę, że

[1]) Edycja z funduszu wydawniczego Leopolda Wellisza. Warszawa. 1933. Skład główny w księgarni J. Mortkowicza.



Wizerunek heljograwiurowy, reprodukcja z fotografji, która przechowała się w jedynym egzemplarzu w zbiorach p. Maryli Wolskiej (z Cyprjana Norwida pism zebranych tom E.).

ten rodzaj, na nazwanie którego nie mamy polskiego *wyrazu* (bo *rzeczy* jeszcze niema), t. j. „*la haute-comédie*", głównie otwiera pole do budującego działania wobec chrześcijańskiego społeczeństwa".

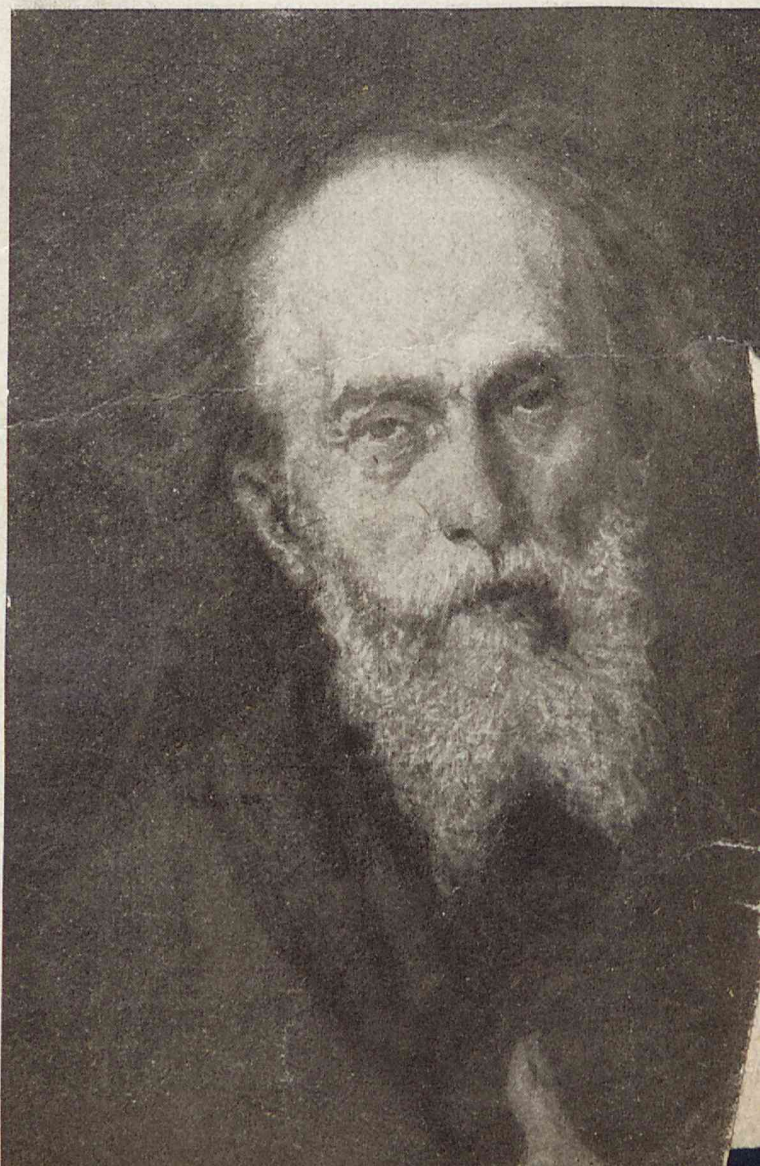
Komedję „Pierścień wielkiej damy" ukończył Norwid w r. 1872. Oddał ją pod opiekę swego przyjaciela, Teofila Lenartowicza, który przekazał jej manuskrypt potomności, t. j. zostawił go... w swoich papierach pośmiertnych. Miriam zapoznał się z „Pierścieniem" pod koniec 1912 r. W ten sposób „biała tragedja" Norwida przybywa do nas po latach sześćdziesięciu dwóch, w chwili najniewdzięczniejszej, bo w epoce powojennych, *jazz-bandowych* nastrojów.

Teatr Polski podał do wiadomości publicznej, iż zamierza wystawić „Pierścień" niebawem, nie chcąc, jako placówka państwowa, dopuścić, aby go w tem ważnem przedsięwzięciu zdystansowano. Przy czujnej i inteligentnej reżyserji artyści nasi zdołają, niewątpliwie, udźwignąć ciężar gatunkowy tego wybitnie oryginalnego poematu. Płynie w nim głęboki nurt podziemny wytężonego do ostatnich granic uczucia, które każdemu niemal zdaniu poety nadaje sens specjalny, już to podkreślając „zbieg różnych ironij", krwawych i bolesnych, już to transponując akcję realną, niekiedy groteskową na tony symboliczne. Specjalnej staranności wymaga też biały wiersz komedji, bo — jak zauważa Norwid — „bez-rymowy wiersz *rymuje się na całą swą długość,* nie zaś w końcowem *jednem* zebrzmieniu wyrazów".

Budowa charakteru figur nie nastręczy większych trudności, gdyż najważniejsze uwypuklił Norwid plastycznie i wyraziście. Działania ich wiąże anegdota, napozór bardzo prosta: W domu sędziego Durejki mieszka na ostatniem piętrze Maks-Iks, może poeta, może literat. Trawi go tragiczna miłość: kocha beznadziejnie swą kuzynkę, hrabinę Harrys, piękną i niezwykle inteligentną wdowę, której pałac mieści się właśnie naprzeciw okienka jego mansardy. Mak-Iks stanął u kresu swoich życiowych wysiłków. Do rozpaczy zawodu miłosnego dołączyła się ostatnia nędza. Nie ma już nawet okruchów chleba dla ptaszków za oknem, które karmił codziennie. „W rozłamaniu — mówi sobie — złamka ostaniego... istnieje coś: jakby się jakiegoś tam *ogółu* dotykało zabłąkanym palcem". Staje oko w oko z koniecznością samobójstwa. W tym momencie sędzia Durejko przyprowadza do jego mieszkanka nowego lokatora, grafa Szeligę, astronoma, który wynajął apartament w tym samym domu na dole, w mansardzie zaś urządzi sobie laboratorjum astronomiczne. Rozmowa Mak-Iksa z Szeligą wyjaśnia, że obydwaj są swego rodzaju „astronomami", zapatrzonymi w tę samą *gwiazdę*, t. j. w hrabinę Harrys; obydwaj zakochani są w niej na śmierć i — bez żadnej nadziei wzajemności. Miłość Mak-Iksa doszła do granic, poza któremi czai się obłęd. To też całe jego otoczenie, nie wyłączając hrabiny, powątpiewa o jego zdrowych zmysłach. Szeligę nęka „miłość ziemska". Broniąc się przed męką, wyjechał w daleką podróż do Palestyny, ale, po dwóch latach nieobecności, wraca, aby jeszcze raz spróbować szczęścia, biorąc za powiernicę swej rozterki przyjaciółkę hrabiny, Magdalenę Tomir. Chociaż hrabina miała kiedyś „kruszyneczkę *ziemskiego uczucia*" dla Szeligi, oddala go ponownie za pośrednictwem oddanej i mądrej Magdaleny.

Sytuacja splata się nagle w przypadkowy węzeł, który hrabina rozcina w sposób niespodziany, zastanawiając tajemniczością swej skomplikowanej, niezwykłej natury. Żona sędziego Durejki, pani Klementyna prowadzi pensję żeńską, której protektorką jest hrabina. Pewnego dnia hrabina urządziła w swym pałacu, dla wszystkich panien z pensji, zabawę. Dziewczęta bawią się w pierścień, a hrabina udzieliła do tej zabawy własnego, pięknego pierścienia z wielkim brylantem. Nagle rozochoconym dziewczętom pierścień prysnął i — zaginął. Sędzia, jako strażnik prawa, wzywa policję, która przeprowadza osobistą rewizję u wszystkich obecnych, wbrew woli i wiedzy hrabiny. Z kolei żądają od Mak-Iksa wypróżnienia kieszeni. Odmawia. Hrabina, która *na chwilę uwierzyła,* że pierścień może być u niego, tłomaczy władzy, że to jej kuzyn i że jest obłąkany. Mak-Iks zachowuje się i rozumuje tak jasno, że sprawa obłędu odpada. Hrabina woła: „ja ci darowałam pierścień!" Ale Mak-Iks i tę próbę obrony odrzuca. Tłomaczy wreszcie swe postanowienie: miał „najgminniejszą z myśli tego świata", chciał „skończyć wszystko jednym strzałem". Wyjmuje z kieszeni nabity rewolwer i okruchy chleba wzięte ze stołu. Rewizja skończona. W tej samej chwili odnajduje się pierścień, który zawisł na bronzowej gałązce świecznika. Pozostaje jeszcze do rozstrzygnięcia tragiczny porachunek hra-

Wizerunek heljograwiurowy, reprodukcja z portretu olejnego Szyndlera (z Cyprjana Norwida pism zebranych, tom A.)



PRZYJĘCIE DYPLOMATYCZNE NA ZAMKU



Dn. 9 stycznia r. b. odbyło się na Zamku doroczne wielkie przyjęcie dla dyplomacji, członków rządu, generalicji i najbliższego otoczenia p. Prezydenta Rzplitej

biny z Mak-Iksem. „Pani — woła rozbolały do nieprzytomności wielbiciel — *brylant* twój mnie darowałaś, *dopuszczając, że się przy mnie znajdzie*". Scena dochodzi do niesłychanego napięcia uczuciowego. Napróżno broni się hrabina: „Nieprzytomną byłam!!... lecz teraz nie sam daję ci pierścień — odpowiedz!". Ofiarę tę Maks-Iks odrzuca w słowach pełnych dumy i wyniosłości. Mówi o swej miłości: „tych, co kochają tak, lub niema dziś, lub nie z tego są świata". Nareszcie hrabina zrozumiała istotę uczucia Mak-Iksa: „Ty tak mówisz, jak, przed Chrześcijaństwem, *wielcy ludzie*, albo ludzie *cierpiący-wiele*, mówili chrześcijańską-myśl wargami-błędu: Ty prawdziwie mnie kochasz..." I tak oto „pierścień wielkiej damy" złączył tych dwoje.

W charakterystyce poszczególnych postaci najmniej może wyraźnie wypadł graf Szeliga. Jego „ziemska miłość" nie nasunęła Norwidowi rysów bohatera dość odrębnych. Jasnem jest, że najwięcej zajmował go Mak-Iks, jako refleks najgłębszych jego przeżyć i jego... marzeń. Hrabina dopiero w trzecim akcie (najbardziej scenicznym) staje się centralną postacią akcji i okazuje fizjonomję przedziwnie oryginalną, stanowiąc jeden z najciekawszych typów niewieścich w naszej literaturze dramatycznej. Wbrew przewidywaniom, Norwid z mistrzostwem kreśli realistyczne portrety postaci drugoplanowych. Sędzia Durejko — to świetny miedzioryt naszej dawnej dulszczyzny urzędniczej. Uwielbia filozofję Trentowskiego, który „jest przez to popularnym, że w przysłowiach odrazu gotowych więcej odkrył niż w głębokich studjach, dając tym sposobem dla *każdego patent*—kto jest przyzwoity rodak, dziedzic zacny — kto ziomek porządny". O sobie samym ma zawsze najlepsze pojęcie, bo „zagajał Durejko nieraz w życiu różnej treści polubowne spory, i już mu niewiele zyskać trzeba tam i owdzie *przyświadczeń sąsiedzkich*, by na zawsze kompetentnym został—w komitetach wszystkich, wszelkiej treści". Nie mniej plastycznie wypadły portrety i sylwetki: pani Sędziny, odźwiernej Salome i majstra ogni sztucznych.

Dobre przedstawienie „Pierścienia wielkiej damy" stać się może wielką rewelacją artystyczną. Oczyści nieco naszą atmosferę teatralną, pokaże, jak w „białej tragedji" Norwida duch wielkiego poety umie być władcą.

EMIL MŁYNARSKI

WSPOMNIENIA O PAWLE KOCHAŃSKIM

Po otrzymaniu wiadomości o śmierci sławnego polskiego wirtuoza, ś. p. Pawła Kochańskiego, redakcja „Świata" zwróciła się do naszego znakomitego muzyka, dyr. Emila Młynarskiego, długoletniego nauczyciela i wychowawcy zmarłego skrzypka, z prośbą o umieszczenie o nim garści osobistych wspomnień.



Paweł Kochański w wieku lat 17-tu (fot. z autografem Kochańskiego, przesłana dyrektorowej E. Młynarskiej z dedykacją „Mojej Pani")

Śmierć Pawła Kochańskiego, naszego znakomitego skrzypka, głęboko mnie i rodzinę moją dotknęła, gdyż był on nam bardzo bliski, był jakby członkiem rodziny. Nasze zmartwienia i radości były i jego zmartwieniami i radościami, i choć po wojnie drogi nasze się rozeszły, tem niemniej kontakt stały utrzymywaliśmy ze sobą. Przecież tak niedawno, zaledwie kilka miesięcy temu, Kochański, będąc w Warszawie, codziennie przesiadywał u nas i wspominaliśmy nasze dawniejsze przeżycia, kiedy to nie było ani wojen, ani kryzysów! Był wprawdzie Paweł ostatnio już cierpiącym, lecz ktoby przypuszczał, że go już więcej nie zobaczę?

Dlatego trudno mi jest skupić się należycie, aby wydobyć, zgodnie z życzeniem Pana Redaktora, choć kilka momentów charakterystycznych, dotyczących życia zmarłego artysty.

W ODESIE

Poznałem Pawełka, jako siedmioletniego chłopczyka. Byłem wówczas profesorem skrzypiec w Konserwatorjum. Przyprowadził go ojciec, muzyk, który go przygotował do egzaminu. Chłopczyk był mizerny, zbiedzony, nóżki miał jak patyczki! Żal mi go było: do Konserwatorjum przyjmowano dzieci dopiero od lat 8, przewidywałem więc trudności w ulokowaniu go w szkole. Gdy z ojcem mówiłem o zbyt młodym wieku dziecka, oczki malca, przypominające dwie szpilki, niespokojnie spoglądały to na mnie, to na ojca — i dwie łezki spłynęły po jego twarzyczce. Kazałem mu wziąć skrzypce, i choć grał na „trzy-ćwierciówce", czyli małych skrzypeczkach, zdawało się, że instrument go prawie przykrywał. Smyczek był zadługi. Wszystko razem robiło niesamowite wrażenie! Po kilku pociągnięciach wiedziałem już, że mam wielki talent przed sobą. Pawełek miał ton jędrny, duży, palce doskonałe i biegle niemi przebierał. Ulitowałem się nad nim i oświadczyłem ojcu, że go przyjmę do klasy... bezpłatnie. Nie potrzebuję dodawać, jaką była radość i ojca i syna!

Wkrótce postępy były tak wielkie, że Pawełek stał się chlubą Konserwatorjum i przy każdej większej uroczystości uczelni musiał moją klasę reprezentować. Co dziwnego, że gdym po upływie 3-ch lat opuszczał nazawsze Odesę, nie chciałem tam Pawełka zostawić? Za zgodą więc jego rodziców zabrałem go do siebie i przywiozłem do naszej stolicy.

W WARSZAWIE

Pawełek debiutował jako 12-letni chłopaczek i porwał publiczność, która na Koncercie Symfonicznym pod moją dyrekcją w teatrze Wielkim zgotowała mu prawdziwą owację. Tu pragnę wspomnieć o pewnem zdarzeniu, które charakteryzuje Pawełka. Był bardzo wesoły z natury, figle ciągle go się trzymały. Po za grą na skrzypcach, był prawdziwem, normalnem dzieckiem. Grając ze mną koncert Mendelsona przy wypełnionej po brzegi sali, raptem zapomina kilku taktów, przerażonemi oczyma patrzy na mnie i szuka ratunku. Jak tu pomóc? Rzecz prawie niemożliwa! Na szczęście sprytnie się połapał i przeskoczywszy parę taktów „dopędza" orkiestrę i wszystko dalej poszło doskonale. Po koncercie nie mogłem go przez długi czas od-

Paweł Kochański i dyr. Emil Młynarski w Zakopanem, w sierpniu 1932 r.



szukać, tak się bał na oczy mi pokazać! Wreszcie złapałem go i pytam, dlaczego się pomylił? On na to: „bo widziałem znajomych chłopców, jak do loży wchodzili, więc im mrugnąłem na powitanie"!

Tworząc nową orkiestrę dla Filharmonji, wybrałem go na drugiego koncertmistrza pierwszych skrzypków (czytał nuty fenomenalnie!). Chciałem, aby nabrał i rutyny orkiestrowej i zaznajomił się z wielkim repertuarem symfonicznym. Z początku praca szła wcale dobrze, dumny był, że zarabia już pieniądze (które nb. w całości wysyłał rodzicom swym — był wzorowym synem), lecz wkrótce orkiestra zaczęła go nudzić i męczyć, więc na próbach wymyślał ciągłe psoty. I tak razu jednego w czasie przerwy pozamieniał wszystkim skrzypkom ich smyczki! Wchodzę na estradę, a tu cały bałagan! I śmieją się i wściekają! Dosyć, że kwadrans stracony. A Pawełek, jak gdyby nic, oczy wpatrzone we mnie. Domyślałem się, czyja to robota. Drugim razem znowu poodkręcał kołki wiolonczelistom; sam musiałem śmiać się, widząc wiolonczelistów długo manewrujących kołkami, aby nastroić swe instrumenty. Naturalnie Pawełek jeden się nie śmiał i udawał niewiniątko! Rezultat tych figlów — usunąłem go z orkiestry.

Pracował tymczasem i rozwijał się. Jako skrzypek robił coraz większe postępy. Wykształcenie dawałem mu domowe — nie chciałem go oddawać do rosyjskiej szkoły.

Jako 16-letni chłopiec wyjechał do Brukseli, gdzie w ciągu kilku lat skończył Akademję muzyczną z dyplomem.

Następuje wielka wszechświatowa karjera — o niej pisać nie będę, wszyscy ją znają.

W IŁGOWIE

Lato stale aż do wojny spędzaliśmy w Iłgowie, majątku rodziny żony mojej, w starej siedzibie Talko-Hryncewiczów. Jestto ładny dwór, położony nad Niemnem (dawniej w Kr. Pols., powiat Władysław., Ziemi Suwalskiej, obecnie w Litwie Kowieńskiej). Pawełek najczęściej lato spędzał tam z nami — od 10-go roku życia, a i po ożenieniu się często nas z żoną odwiedzał. W Iłgowie gościł często mój przyjaciel, Roman Statkowski, a i inni muzycy mię odwiedzali. Wieczorami odbywały się koncerty. Pawełek był atrakcją największą! To też tłumnie zjeżdżali sąsiedzi, szczególniej na Św. Annę, kiedy byli prawie pewni, że Kochańskiego usłyszą. Pawełka wyrywały sobie domy bliżej z nami zaprzyjaźnione, jak Tomasza Zana, Medarda Komara, Szemiothów i do dziś dnia w rodzinach tych pamięta się o ucztach artystycznych z Kochańskim.



Paweł Kochański i dyr. E. Młynarski w sierpniu r. 1932, w Zakopanem

NOWY JORK

Wojna zastała Kochańskich w Iłgowie. Przy cofaniu się armji Rennenkampfa z Prus musieliśmy opuścić majątek. Po wojnie, w roku 1920, Paweł Kochański (po Anglji) znalazł się w N. Jorku i rozwinął tam ożywioną działalność koncertową i pedagogiczną. W roku 1929 byłem sam świadkiem tryumfów Pawła w N. Jorku. W Carnegie-Hall odbył się jego recital skrzypcowy, przy wypełnionej doszczętnie sali. Rzadko daje się widzieć takie powodzenie! Na bis grał prawie drugie tyle, co koncert zapowiadał. Największe powodzenie miał utwór Szymanowskiego, Fontaine d'Arethuse, który musiał powtórzyć! Po koncercie odbył się ogromny raut na jego cześć. Miałem okazję poznać całą elitę towarzyską N. Jorku i niemal cały świat artystyczny.

* * *

Jakie tryumfy go jeszcze czekały! Niestety, zawcześnie odszedł od nas.

Paweł Kochański w r. 1918 (fot. ofiarowana dyr. E. Młynarskiej z następującą dedykacją: „Najdroższej Pani Dyrektorowej od ucznia Jej męża profesora Pola. — Piotrogród 1918")



POLOWANIE REPREZENTACYJNE W BIAŁOWIEŻY



P. Prezydent z małżonką na polowaniu w Białowieży

W dniach 11 i 12 b. m. odbyły się w Puszczy Białowieskiej wielkie łowy, na które p. Prezydent Rzeczypospolitej zaprosił przedstawicieli świata politycznego, dyplomacji, wojskowości, wyższych urzędników państwowych i t. d. Między innymi w polowaniu wzięli udział: marszałek Raczkiewicz, premjer Jędrzejewicz, który zabił olbrzymiego dzika, węgierski minister rolnictwa Kallay, wiceprezydent Senatu Gdańskiego Greiser, poseł niemiecki v. Moltke, poseł czeskosłowacki Girsa, poseł austrjacki Hoffinger, poseł rumuński Cadere, ks. Karol Radziwiłł, hr. Maurycy Potocki, wiceminister Bobkowski, wojewoda Kościałkowski, generalny komisarz Rzplitej Pappée, generałowie Sosnkowski, Fabrycy i Trojanowski, szef protokułu Romer, dyrektor lasów państwowych Loret i t. d.

Polowanie uświetniły swą obecnością panie z p. Prezydentową Mościcką i p. Zwisłocką na czele. Część gości zamieszkiwała w pałacyku myśliwskim, inni w salonkach specjalnego pociągu, oczekującego na torze.

Na teren łowów, oddalony o kilkanaście kilometrów od miejsca postoju, udawano się po zaśnieżonych drogach częściowo samochodami, częściowo sankami. Pogoda była wspaniała, to też i humory dopisały, zwłaszcza, że ubito 22 dziki, 3 rysie, 5 lisów i 4 jarząbki. Nie szczęściło się tylko p. Prezydentowi, który ani razu nie strzelał. Zwierzyna go omijała. Zato goście zagraniczni byli zachwyceni zarówno puszczą, jak jej zwierzostanem.

Kulminacyjnym punktem polowania była tradycyjna uroczystość łowiecka pasowania na rycerzy św. Huberta najszczęśliwszych myśliwych. Trzech panów otrzymało ten zaszczytny tytuł: minister Kallay za zabicie pierwszego w życiu rysia, p. Bormans, krewny Prezydenta — także za rysia i hr. Romer — za pierwszego dzika.

Obrządek pasowania na rycerza św. Huberta odbywa się w ten sposób, że najstarszy myśliwy kordelasem zbroczonym krwią dzika kreśli krzyż na czole klęczącego pomazańca. Odtąd ten należy do starszyzny łowieckiej, mającej specjalne przywileje w kniei i — przy bigosie.



Ryś generała Sosnkowskiego



Dzik premjera Jędrzejewicza

BRUNO WINAWER

ERUPCJA

Wybuch wojny światowej zastał mnie w Niemczech. Raz czy dwa próbowałem w dłuższym utworze literackim opisać ponure przeżycia przybysza, który się kołatać musi w fanatycznym tłumie, przemykać nod murem. Z mrocznych zaułków cichego zazwyczaj, solidnego miasta wypływają coraz mętniejsze fale i człowiek jest zdany wreszcie na łaskę najgorszego bałwana — może nam łeb o mur roztrzaskać i jeszcze będzie uchodził za bohatera. Demolowano w ślepej nienawiści hotele, bo się nazywały „Rosyjski" albo „Angielski" i nie zdążyły zdjąć szyldu... Nie robionoby sobie ceregieli z jedną wątłą osobą.

Ale nawet w tych najgorszych dniach byli przecież inni ludzie w mieścinie uniwersyteckiej. Zajął się mną — pamiętam — dyrektor fabryki rentgenowskiej... Jaka to szkoda, że rozwój literatury zabił prostą, naiwną bajkę, że nie mamy już miejsca na rzewną opowieść o prawdziwie dobrym, wzruszająco dobrym człowieku.

Inżynier Friedrich należał do gromadki tych pionierów, którzy już w pierwszych latach po wielkiem odkryciu postanowili sobie, że cudowną kulę szklaną — kruchy przyrząd laboratoryjny — oddadzą w ręce praktyków, laików, lekarzy. Pracował nad „promieniami X" od początku i popalił twarz i ręce w straszliwy sposób. Medycyna nie ma i dziś środka na te oparzenia rentgenowskie.

Nie zwracał na to uwagi — pracował dalej. Szukał promieni bardziej przenikliwych, leczących raka. Zajął się kwestjami teoretycznemi. W zgiełku wojennym wykonał ciekawą pracę laboratoryjną, otrzymał tytuł profesora, stworzył nową pracownię i nową katedrę na wszechnicy...

W prasie „zakordonowej" czytam, że nowi panowie w Niemczech wytoczyli i jemu... proces polityczny! Należał do stronnictwa katolickiego (a to jest dziś poczytywane za zbrodnię). I jeszcze jedna rzecz zdumiewająca: oskarżyciel publiczny, któremu się coś w brzmieniu nazwiska nie podoba, usiłuje uporczywie dowieść fizykowi, męczennikowi nauki, dzielnemu inżynierowi, że musi mieć w sobie odrobinę krwi niearyjskiej (a to byłaby już zbrodnia największa!).

I niech mi kto teraz powie, jaki to gatunek galopującego obłędu masowego szerzy się w Niemczech? Mieli — jak wykazuje trzeźwy almanach — 10 politechnik, dwadzieścia dwa uniwersytety. *7270* profesorów wykładało na katedrach akademickich, *16 tysięcy* osób płci rozmaitej studjowało nauki przyrodnicze. I nagle— jak pomór, jak czarna śmierć — ciska się na mózgi ludzkie najgorsza, najgłupsza teoryjka — rodem z magla — i nikt nawet siły nie ma, żeby śmiechem wybuchnąć! — „Rasizm"...

Właśnie teraz wybitny badacz angielski, profesor G. Elliot Smith, M. A., M. D., D. Sc., Litt. D., F. R. S. ogłasza spore dzieło o wędrówkach kultury, o początkach cywilizacji. Okazuje się, że już w zaraniu, w zamierzchłych czasach człowiek i każdy jego lepszy pomysł biegł i szwendał się po całej kuli ziemskiej. Już w prehistorji ten glob był dziwnie maciupki.

Myślicie, że *bumerang* to wymysł tubylców australijskich? Ale! Był w Egipcie przed prawiekiem, był nawet w Kalifornji i ktoś go do licha musiał przynieść osobiście. Myślicie, że legenda o Jazonie i złotem runie powstała w Grecji? Znano ją w Japonji, na Madagaskarze, w Ameryce Północnej! W pewną grę, zwaną dziś albo wczoraj „tryktrakiem", grano w Skandynawji, ale i w dawnym Rzymie, znali ją Hindusi, Egipcjanie i... Aztekowie! Są dowody, że czerwonoskórzy przywędrowali z Azji do Ameryki... Hiszpanie, którzy na nowym lądzie po raz pierwszy dotarli do Meksyku — spostrzegli z przerażeniem, że tam się odbywają nieomal takie same obrzędy i ceremonje, jak u nich w domu, w niedzielę!

Możnaby godzinami takie przykłady przytaczać... Jest jeszcze jeden fakt, ciekawszy. Los nietylko bywa „figlarny" — czasem robi okrutne, straszne, potworne ale niemniej ściśle naukowe, decydujące eksperymenty, którychby się najgenjalniejszy badacz nie powstydził — tak są precyzyjnie pomyślane. Marynarze Kolumba przywieźli z Ameryki fatalną chorobę weneryczną. W mgnieniu oka jęła się szerzyć, jak pożoga, objęła miasta, wsie, chałupy, pałace. Zapadali na nią dostojnicy świeccy i kościelni — nawet najwyżsi. Przenosiła się z chłopów na panów, z żydów na chrześcijan i odwrotnie. Czyż trzeba lepszego dowodu, że trochę nieprzyzwoita sztuka Schnitzlera „Korowód" dość trafnie maluje nagą rzeczywistość i nasze zagmatwane sprawy erotyczne?

Ale Niemców dzisiejszych żaden argument się nie ima. Całe stronice w tygodnikach naukowych są zadrukowane nazwiskami wydalonych profesorów i docentów.

„Rasizm"...

W kraju, w którym po lat trzydzieści trwały wojny, wałęsało się żołdactwo, mieszały się jak w potwornym garncu nacje, wyznania, plemiona. W kraju notorycznych mieszańców... drobnych kupców... Rajzenderów!

Teorja *rasowa!* Czy panowie się nie spóźnili o kilkaset wieków? Trzeba się cofnąć do *człowieka neadertalskiego*, choć i to był kundel.

Albo jeszcze lepiej. Niech panowie wydadzą zamąż spiżową Germanję z pod Monachjum (wejście 50 fenigów) za goryla od Hagenbecka i czekają na potomstwo. Resztę ludności można tymczasem wytruć fosgenem, bo jest rasowo podejrzana.

A może to tak już jest, że nasz świat duchowy wygląda kubek w kubek, jak ów świat fizyczny, jak ten glob pod naszemi stopami? Chodzimy sobie lata całe po mocnych lądach, po solidnych kontynentach, nabieramy zaufania, osiedlamy się w Japonji, na Martynice... I nagle coś huknie, coś się pocznie trząść, Mont Pelé wyrzuca słupy ognia, strumienie lawy, słońce znika w kłębowiskach popiołu, setki tysięcy ludzi giną w rzekach płomieni.

Może zupełnie tak samo jest z chamstwem i ignorancją? Dwadzieścia wszechnic, dziesięć politechnik, siedem tysięcy profesorów! Wydawało się, że grunt jest solidny. Ale gdzietam! ,

Na innych planetach na pewno to widzą wyraźnie (psychowizja) i jakiś astrofizyk z Marsa notuje spokojnie w kronice:

„Tego roku Ziemia była znów trochę niespokojna. Na środku wielkiego kontynentu zauważono przeraźliwy wybuch głupoty. Słupy idjotyzmu wylatywały, przechodząc przez różne kolory aż do białej gorączki — poza granice atmosfery. Języki tępego chamstwa i ostrego obłędu sięgały nieomal aż do księżyca. Obok krateru głównego utworzyło się kilka mniejszych. Protuberancje krwawego szału mocno świecą nocami.

„Ziemia od lat miljonów nie miała tak przeraźliwie intensywnej aureoli głupstwa".

Twórczość

(Wystawa pośmiertna



W. Drabik — dekoracja. „Fantazy" Słowackiego (T. Narodowy)

Zgromadzona starannie w dwu wielkich salach Zachęty spuścizna pośmiertna Wincentego Drabika nasuwa nieodparcie dwie refleksje: jedną smutną a drugą mimo żałobnej chwili — niemal radosną. Smutek płynie z poczucia, jak wielką stratę poniósł teatr w Polsce przez przedwczesne odejście artysty, który do ostatniego tchnienia był w pełni sił twórczych, i długie jeszcze lata służyć mógł sztuce swym wybitnym talentem. Refleksja radosna przychodzi później, w miarę poznawania jego prac, w miarę uświadamiania sobie rodzaju jego indywidualności. Oto po stwierdzeniu, jak świetnym był Drabik scenografem, nabieramy coraz głębszego przeświadczenia, że był on *właśnie wyłącznie dekoratorem*, że ten sposób wypowiedzenia się w sztuce — to była jego przyrodzona mowa. Poprostu urodził się wielkim dekoratorem teatralnym — a szczęśliwem zrządzeniem losu danem mu było swej wybranej sztuce służyć nieustannie.

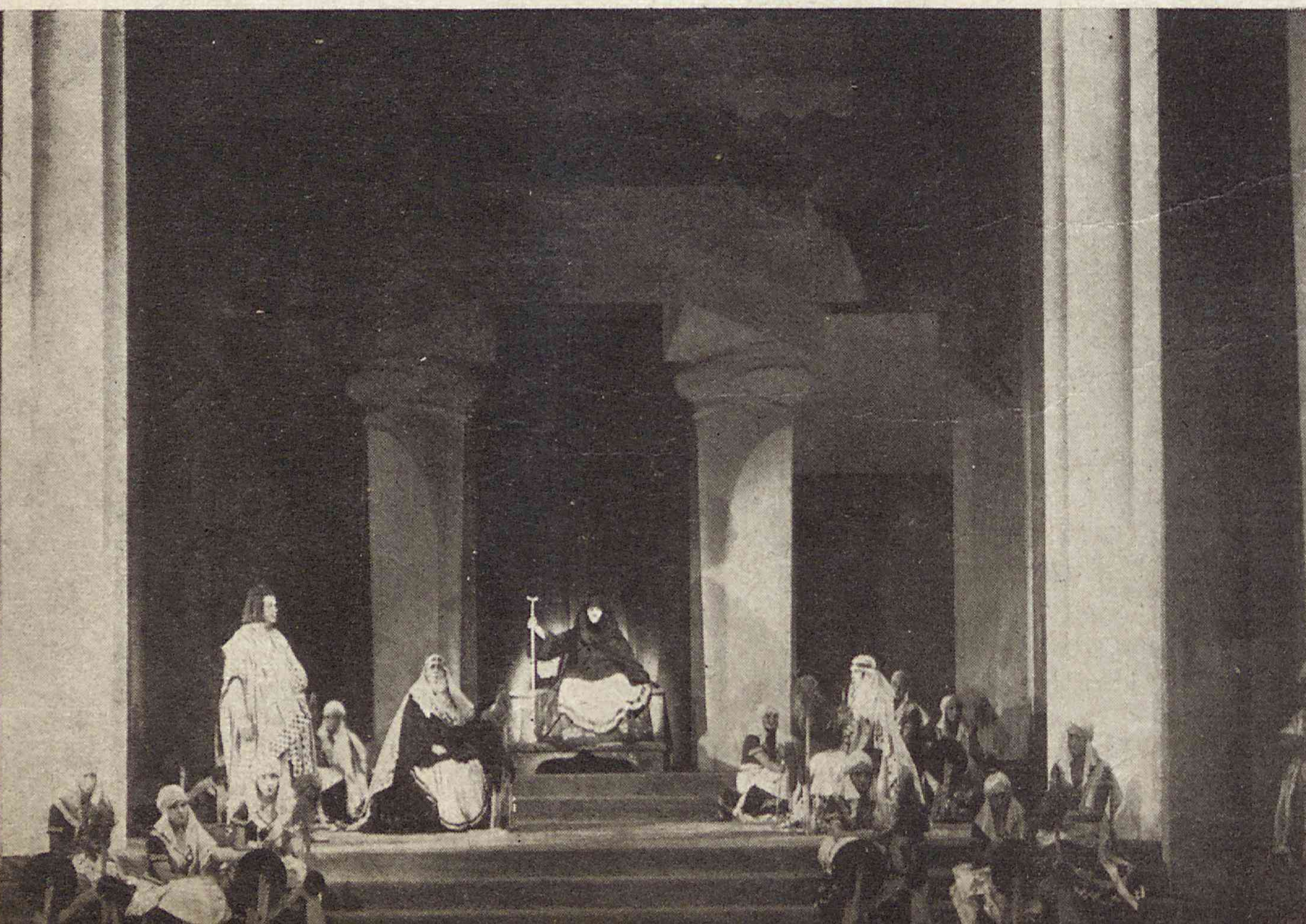
Czytelnik może wzruszy ramionami i zauważy: „Wielkie odkrycie: dekorator, więc malował dekoracje, to jasne".

Właśnie nie zawsze i nie wszędzie. Zabrakło przecież dla Mehoffera okien w kościołach polskich na witraże, zabrakło dla Wyspiańskiego murów, któreby przyjęły jego zamierzenia zdobnicze, tak samo jak w innej dziedzinie niejeden sławny portrecista przez całe życie marzy o tem, aby móc nareszcie malować *dla siebie*... pejzaże, a znowu urodzony twórca eleganckich ilustracji z braku tego typu wydawnictw poświęca się na chybił trafił malarstwu stalugowemu.

Takie nieporozumienia zdarzają się w sztuce polskiej aż za często. — Grają tu rolę czynniki poboczne, przeważnie nic wspólnego ze sztuką nie mające: tak zwana rzeczywistość, która najczęściej artystę z wyżyn marzenia ściąga brutalnie na ziemię i na długie lata — czasami na całe życie — nie daje jego marzeniu przyjść do głosu.

Działalność artystyczna Drabika ułożyła się inaczej: jego *rzeczywistość* pokrywała się twórczo z jego *marzeniem*. Niewątpliwie gdyby tworzył przez całe swoje życie wyłącznie dla siebie, gdyby mu los był przydzielił zupełną swobodę i odpowiednie środki materjalne — ten wielki dekorator byłby założył własny teatr dla realizowania swoich projektów scenicznych, bo w tym żywiole czuł możność wypowiedzenia się najpełniej. Odnosi się wrażenie, patrząc na zebrane setki szkiców Drabika, że nie rozstawał się on ze szkicownikiem, ołówkiem i akwarelą, — i że jak z wulkanu wydobywały się z jego

W. Drabik—dekoracja. „Król Agis" Słowackiego (T. Narodowy) Fot. JanMalarski



W. Drabika

w Zachęcie)

ciągle czynnej fantazji te kształty i kolory, które później, w formie konkretnej, publiczność teatralna nagradzała tak często entuzjastycznym oklaskiem przy podniesieniu kurtyny.

Jak kochał tę swoją sztukę, jak o niej tylko myślał, dowodzi choćby fakt, że stworzył całe mnóstwo dekoracji, które w żadnym teatrze nie zostały zrealizowane. Tworzył je *wyłącznie dla siebie*, urzeczony danem dziełem teatralnem, które zapładniało jego wyobraźnię i nie dawało mu spokoju, dopóki go nie oprawił w swoją wizję sceniczną. Tak było z „Halką" Moniuszki, tak z „Weselem Figara" Mozarta, z „Akropolis", „Powrotem Odyssa", „Achilleis" Wyspiańskiego, z „Weneckiemi podziemiami" Krasińskiego, z dziełami Słowackiego, Ibsena, Claudela.

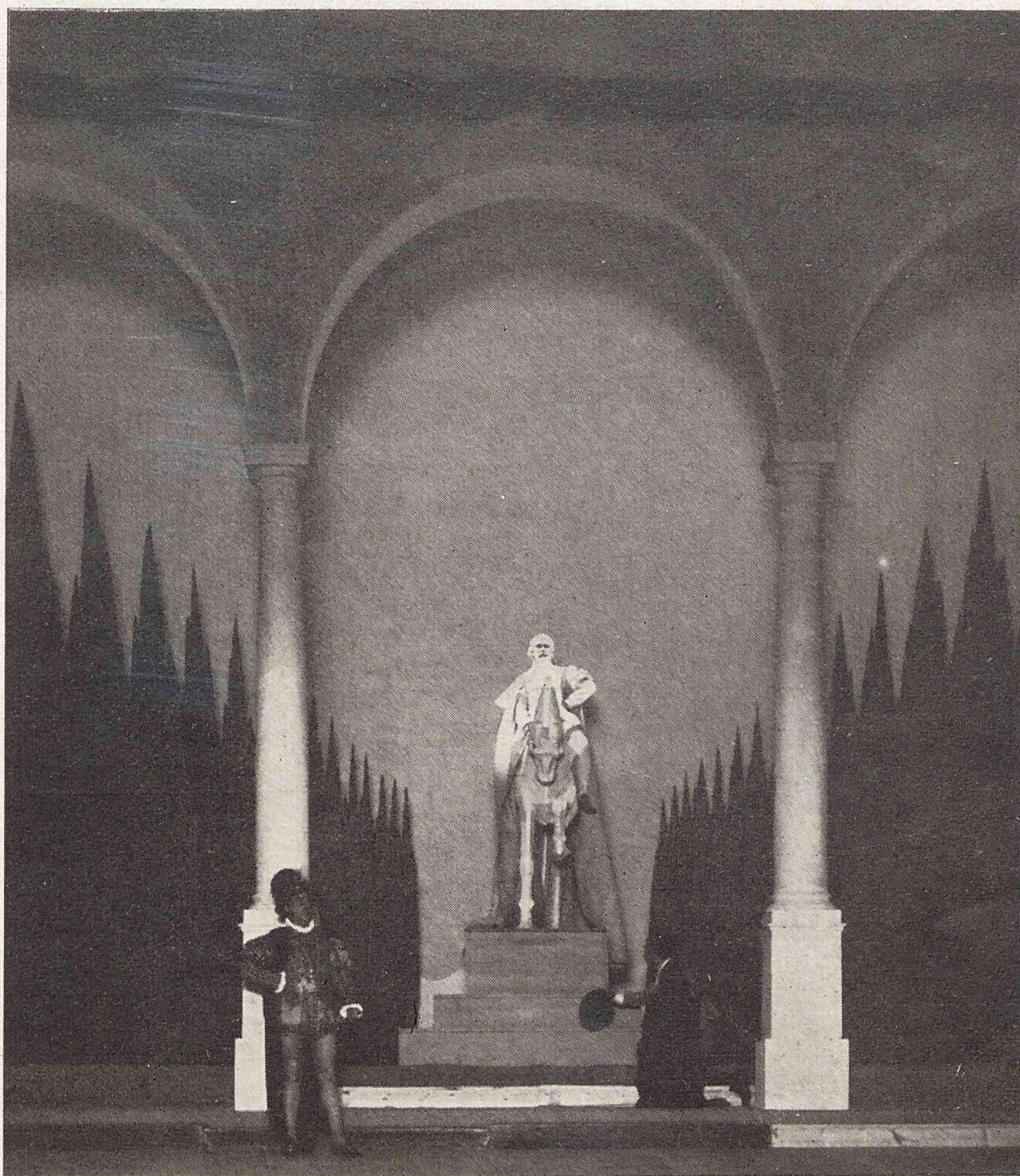
Porywała go i pobudzała jego twórczość tylko poezja wielka: drobne konflikty dramatów mieszczańskich były mu najzupełniej obojętne, i w tym zakresie, o ile konieczność repertuaru zmuszała go do pracy, czuł się obco i rzeczy wiekopomnych po sobie nie zostawił. Natomiast wśród wielu szkiców rzuconych hojną dłonią magnata, nieprzeznaczonych dla nikogo, przez nikogo nie opłaconych — znajdują się wielokrotnie rzeczy skończenie piękne, gotowe projekty dekoracyj. Powinny one być zrealizowane, o ile znajdzie się wykonawca, który nie zatraci przy realizacji walorów kolorystycznych zmarłego mistrza i oddać potrafi w całej pełni potęgę nastroju i atmosferę uczuciową jego kompozycji.

* * *

Mimo widocznego pietyzmu, jakim kierowali się organizatorzy tej wystawy, mimo wielkiej wdzięczności, na jaką sobie zasłużyli ze strony miłośników sztuki, wyrazić musimy jednak wątpliwość: czy jest celowe i estetycznie usprawiedliwione ustawienie na schodach części dekoracji choćby w najefektowniejszem oświetleniu?

Te żałosne kawały zamalowanego płótna, te fruwające kolumny w ostrem świetle reflektorów — widziane zbliska, zdradzają całą nędzę *materjału* teatralnego, którego nieodzownem dopełnieniem jest to wszystko, co wytwarza złudzenie: *dystans*, światło, kompozycja całości. Wyrwany poszczególny fragment, pokazany tak, że ręką go można dotknąć, jest tylko strzępem Drabikowego marzenia, które przecież w pełnej chwale niejednokrotnie oglądaliśmy we wszystkich polskich teatrach. Na szczęście, o przykrem tem wrażeniu szybko się zapomina, gdy się poddamy w obu salach Zachęty czarowi, który płynie ze szkiców i projektów zmarłego Mistrza-dekoratora.

Zofja Norblin-Chrzanowska.



W. Drabik — dekoracja. „Don Juan" Mozarta (T. Wielki)

W. Drabik — dekoracja. „Adwokat i róże" Szaniawskiego (T. Nowy) Fot. Jan Malarski





Z życia dwo

Robiło się coraz chłodniej. Z przyjemnością myślałam o zakończeniu pierwszego etapu konnej wyprawy przy kominku gościnnego dworu.

Mój piętnastoletni towarzysz był nieco zakłopotany.

— Czy aby, ciociu, dostaniemy dobrego owsa, bo Awis złego jeść nie będzie!

— Niedawno młócono, powinien być dobry. Zresztą, niech się przyzwyczaja; to nie to, co w pułku.

Podjeżdżamy do niskiego, białego pałacyku z kolumnami. Nikogo w pobliżu nie widać. Jedynie czarny kundel wybiega, by nas obejrzeć, probuje nawet szczekać, ale szybko rozmyśla się i okręciwszy się parę razy dokoła siebie, siada na stopniach. Widocznie dzwonki nie działają, bo dzwonię bardzo długo. Idę więc na podwórze, by przez kuchnię dostać się prędzej do wymarzonego kominka i prosić o szklankę herbaty.

Oparty o drzewo stoi samotny rower. Drzwi naoścież otwarte.

Dochodzą mnie jakieś podniecone i stłumione głosy, a dom wydaje się jakby zaczarowany.

Nietylko brak gospodarzy, — wogóle pustka. Zaglądam do małego saloniku: gdzie się podziały meble, bronzowe świeczniki i obraz Rembrandta, którym tak się szczyciła rodzina N-skich? W jadalni brak gdańskiego kredensu, a na ścianach ani śladu starej korzeckiej porcelany. Czyżby się wyprowadzili do miasta? Nie byłam tu z pół roku, ale nic o tem nie mówiono w okolicy.

Wreszcie zjawia się pani domu. Robi wrażenie mocno zakłopotanej, wita mnie z roztargnieniem.

— Pani wybaczy, byłam właśnie zajęta. Proszę do mojego pokoju.

Tu wszystko po dawnemu. Staroświeckie mahoniowe łóżka i bidermajerowska toaleta, na której może czegoś brakuje, ale narazie nie rzuca się to w oczy.

Pytam, jak się okazuje, bardzo nietaktownie:

— Czy państwo zwijają dom? Może ze względu na dzieci przenoszą się państwo do miasta?

Pani N. siada na krześle i najniespodziewaniej zaczyna płakać.

— Przepraszam panią bardzo — to nerwy... Zresztą, co tu ukrywać. Dziś licytują nam krowy i konie. Meble wywiozłam do matki.

— Przecież państwo mają las, młyn, przędzalnię?

— Młyn zamknięty, przędzalnia od roku stoi, a las wyprzedajemy potrochu. Co tu mówić, jesteśmy straceni...

Kolacja przechodzi w ponurem milczeniu. Pan N. nie skłonny jest do konwersacji. Romek wściekły, bo owsa we dworze ani funta. Podobno żyd wprost z pod maszyny zabrał. Sieczki Awis jeść nie będzie.

W nocy zimno. Przeszkadza mi też — do rana trwająca rozmowa gospodarzy, przerywana płaczem pani N.

* * *

— E, ciociu, jak tak dalej pójdzie — mówi Romek nazajutrz, gdy puszczamy się w drogę — to Awis zdechnie.

— Nie bój się. Na obiad zatrzymamy się u pana B., to stary kawaler, człowiek bogaty i dobry gospodarz.

Jedziemy polami. Chmury odlatujących gawronów urozmaicają nam drogę ogłuszającą wrzawą. Romek twierdzi, że Awis czuje się źle. Gdy zimno zaczyna nam porządnie dokuczać, puszczamy się kłusa.

Zaledwie zajechaliśmy przed ganek, drzwi otworzyły się z hałasem i przed dom wybiegł stary lokaj Marcin, w podniszczonej liberji, o mocno błyszczących guzikach. Schylony, siwy, ale niezmiennie ruchliwy i przejęty swoją rolą, przypominał wymarły już typ ze starej powieści.

Za chwilę wyszedł gospodarz, siwiejący, lecz nie stary jeszcze pan, o szlachetnej powierzchowności i ruchach markiza.

Przeprowadził nas do starannie sprzątniętych, pachnących stęchlizną pokojów gościnnych, a stamtąd do jednego, drugiego i trzeciego salonu. Dywany, obrazy, rzadka drogocenna broń, kolekcja najpiękniejszej porcelany... Wszystko na miejscu. Chwała Bogu!

— Nie wyjeżdżam nigdzie, bo nie mam za co — zaraz na wstępie oświadczył — zresztą w dzisiejszych strasznych czasach nie można nawet na jeden dzień majątku opuścić, rozkradliby wszystko!

Na obiad był rosół, kaczki i jakaś legumina, pachnąca miodem. A po obiedzie podano leciutką herbatę, która się okazała zaparzonym kwiatem lipowym, i miód zamiast cukru.

— Może pani nie lubi, ale prócz nafty i tytoniu nic nie kupuję, wszystko swoje.



rów kresowych

— Wracamy do pierwotnych czasów — westchnęłam, popijając leczniczy płyn. A Romek spytał półgłosem:

— Ciociu, czy mogę tego nie pić?

— Tak, proszę pani, osaczeni jesteśmy i, by wytrwać do końca, musimy być przezorni i chytrzy, jak żmije. Produkcja nie powinna przewyższać własnych potrzeb. Gospodarka extensywna minimum służby, minimum wymagań.

— Gdyby wszyscy tak rozumowali, miasta musiałyby zginąć z głodu.

— Wszyscy tak nie rozumują, a zresztą mnie to nic nie obchodzi. Oszczędność we wszystkiem i pozorne utrzymanie się na poziomie, oto moje zasady.

Było już ciemno, gdy wyjechaliśmy od pana B. Na noc chciałam się zatrzymać u moich przyjaciół K—iczów.

— No i cóż, Romku, dostał Awis owsa? — spytałam, gdy minęliśmy bramę.

— A jakże, suchutki, zeszłoroczny. Ale zapłaciłem furmanowi dwa złote.

— Jakto?

— Powiedział, że goście zawsze tak płacą.

* * *

W ostatnim etapie mieliśmy tylko jeden majątek; hrabiny Z. Ponieważ wiedziałam, że właściciel jest od kilku miesięcy na posadzie w Warszawie, przypuszczałam, że nikogo nie zastaniemy.

Nie zdziwiłam się więc, gdy zobaczyłam drzwi frontowe zamknięte i założone matami. U góry jednak przyczepiona była kartka: „Wejście z boku".

Przywitała nas pani Z. na schodach. Wracała właśnie z folwarku i nie zdążyła jeszcze zdjąć kożuszka i wysokich butów. Konie kazała umieścić w stajni cugowej, a nas prosiła do małego pokoiku, urządzonego z wielkim smakiem, w stylu nowoczesnym, z najpiękniejszym meblem w postaci otwartych szaf z książkami.

Pani zostawiła nas na chwilę samych i wróciła przebrana w zgrabną bronzową spódnicę i gruby, własnej roboty sweter.

— Więc pani mieszka sama na wsi?

— Z dziećmi. Mąż musiał wziąć posadę, ale, oczywiście, nie możemy pozwolić, by majątek zmarniał w rękach dzierżawcy. Zamknęłam na zimę dom, bo nie sposób opalić dwudziestu pokoi, mieszkamy więc w trzech.

— A gdzie uczą się dzieci?

— W szkole powszechnej. Jaś jest już w siódmym oddziele.

— I nie boi się pani złych wpływów niedobranego towarzystwa?

— Złych wpływów? Przecież mają mnie! — odezwała się z takiem zdumieniem hrabina, że uczułam pewne zażenowanie i zmieniłam temat.



— Jak pani daje sobie radę z gospodarstwem?

— Jakoś tam idzie.

— Nie ma pani rządcy?

— Każde zbyteczne obciążenie to krzywda dla majątku. Wszystkie sprawy muszą się opierać bezpośrednio na mnie. Jeśli czegoś nie wiem, piszę do męża. Ciężko jest, oczywiście. Podatki właściwie nie są takie wielkie, gnębią nas raczej długi. Ale mam nadzieję, że przy intensywnej pracy nas obojga i zredukowaniu wymagań, za pięć, sześć lat wyjdziemy z tego błędnego koła, do którego trafiliśmy przez krótkowzroczność i nieznajomość możliwości ekonomicznych Polski.

— Tak, ale redukując wymagania można wreszcie schłopieć!

— Nie jestem bynajmniej na tej drodze, — uśmiechnęła się hrabina — prenumeruję pisma, książki biorę z czytelni, mam radjo. Nauczyłam się szyć i robić na drutach, więc zawsze będę ubrana przyzwoicie. Otrzymuję listy ze świata, gazety, cóż więcej trzeba? Bardzo małemi wkładami staram się uintensywnić gospodarstwo. Powiększyłam chlewnię, na wiosnę rozszerzę ogród warzywny i będę wysyłać jarzyny do miasta. Pszczoły już dały mi solidny dochód w tym roku. No a w lecie otwieram pensjonat.

Było już prawie ciemno, gdy wyruszyliśmy z Romkiem do domu. Pani Z. z synem odprowadziła nas spory kawałek konno. Oglądaliśmy się jeszcze długo za sobą, aż zmierzch pochłonął szare sylwetki.

Konie szły żwawo, czując koniec podróży.

— Owies był? — spytałam.

— Czemu miałby nie być, — odrzekł mój towarzysz, poczuwając się do solidarności z opuszczonym domem. — I wogóle, wie ciocia, morowa ta hrabina!

N. Drucka.

(Zdjęcia Photo-Plat)





Bogato haftowany strój najpiękniejszej góralki z Bukowiny

Fot. Photo-Plat

DOM WYPOCZYNKOWY
DLA ARTYSTÓW
NA BUKOWINIE — GŁODÓWCE

Gdy ś. p. Karol Stryjeński ze swą niezmordowaną energją rozpoczynał zbiórkę funduszów na Dom wypoczynkowy dla artystów, zdawać się mogło, że bierze na siebie zadanie ponad siły. Fundusze jednak zostały zgromadzone, przecudny teren na Bukowinie pod Zakopanem nabyty, — budowa domu zaczęta — i skończona. W tych dniach odbyła się inauguracja tego jedynego w swoim rodzaju schroniska w górach naszych. Brać artystyczna wszelkich odłamów znajdzie tam za umiarkowaną opłatą wypoczynek wśród wspaniałych terenów śnieżnych. Kto „nartami nie włada" — ma do dyspozycji werandowanie i spacery. A kto upiera się, aby i podczas wypoczynku pracować, znajdzie w Domu im ś. p. Karola Stryjeńskiego odpowiednio urządzone pracownie rzeźbiarskie i malarskie. Wyjątkowy urok pejzażu, balsamiczna czystość powietrza, cisza absolutna i odcięcie od świata — oto wymarzone warunki wypoczynkowe dla skołatanych miastem artystycznych nerwów. A w okolicy dziewczęta góralskie — piękne i przecudnie ubrane...

Tereny narciarskie Bukowiny





Schronisko im. ś. p. Stryjeńskiego na Głodówce

„Równanie na rolnictwo"

Poniżej zamieszczamy artykuł, pochodzący ze sfer zbliżonych do przemysłu. Dotyczy on jednego z najważniejszych zagadnień gospodarczych chwili bieżącej. Chętnie też damy miejsce głosom inaczej oświetlającym poruszony problem, zwłaszcza ujmującym go ze stanowiska interesów rolnictwa.

Słyszeliśmy wszyscy o „nożycach ekonomicznych". Gdy ceny wyrobów przemysłowych idą wgórę w stosunku do cen zboża, — czytamy, — nożyce się otwierają; gdy ceny idą w dół, nożyce się zamykają.

Teorja „nożyc" została importowana z publicystyki bolszewickiej. Rosja, jak wiadomo, jest krajem wybitnie rolniczym. Nic więc dziwnego, że na wszystkie ceny patrzy się tam z poziomu cen zboża. W kraju przemysłowym możnaby się umówić, aby podstawę „nożyc" stanowiła np. cena węgla, i taka formuła byłaby tam racjonalniejsza. Polska jest krajem przemysłowo- rolniczym. Można podstawę cen wybierać dowolnie. Gdy mowa u nas o nożycach, to o takich, których jedno ramię oznacza cenę zboża.

* * *

Od paru lat, gdy rząd nasz rozpoczął słuszną politykę obniżki cen artykułów przemysłowych, niektórzy publicyści przyczepili do tej polityki hasło: „zamykać nożyce" i „równanie frontu na rolnictwo"! Tymczasem obniżka cen przemysłowych a równanie ich na zboże, to zjawiska tylko czasem identyczne, a często różne. Nie powinno się ich utożsamiać.

W gospodarce bolszewickiej „zamykanie nożyc", będąc środkiem obniżenia cen przemysłowych, jest przedewszystkiem sposobem doprowadzania do stałego stosunku pomiędzy ceną produktów rolnych a przemysłowych. Cenę zboża ustala tam państwo i do niej dociąga się koszt fabrykatów. Hasło zamykania nożyc ma w Rosji sens realny, bo tam jedno ramię nożyc, t. j. państwowa cena zboża — pozostaje nieruchome.

A w Polsce?

Dnia 18 grudnia p. wiceminister skarbu Kozłowski, mówiąc w Sejmie o cenie zboża, powiedział, co następuje:

„Element zasadniczy, cena światowa, jest poza sferą naszego działania. W porównaniu z rokiem ubiegłym spadła ona niesłychanie... Od lat blisko trzech mamy ciągły spadek cen zboża. Jeżeli nasze rolnictwo zdoła się zbliżyć do ceny światowej, natychmiast przychodzi nowy spadek ceny i deruta".

Publicyści, którzy chcą, by nasz przemysł „równał na rolnictwo", po słowach wiceministra Kozłowskiego powinni zastanowić się nad tem, co głoszą. Bo, przypuśćmy, że rok temu przemysł usłuchał ich. Co byłoby dzisiaj? Przemysł musiałby powiedzieć sobie: „Rok temu poczęliśmy stosować nasze ceny do cen zboża i oto natychmiast przychodzi nowy spadek ceny i deruta". Zamiast jednej katastrofy w rolnictwie, mielibyśmy na dodatek i drugą, — w przemyśle.

* * *

Dzisiaj hasło: „niech przemysł równa ceny na rolnictwo" jest namawianiem do marszu ku ruchomemu celowi, którego kierunku nie potrafimy przewidzieć. Jaki przywódca daje taki kierunek marszu, jeśli chce dojść gdzieindziej, niż do niespodzianki?

Więc, — zniżka cen przemysłowych — owszem. Lecz równanie cen przemysłowych na rolnictwo, — to fałszywe hasło.

Hasło to mogłoby w Polsce nabrać sensu dopiero wówczas, gdyby u nas na zboże wprowadzono ceny stałe. Ceny zaś stałe w rolnictwie są obecnie możliwe jedynie, jako rezultat gospodarki zamkniętej. Więc kto dziś chce głosić równanie cen przemysłowych na rolnictwo, powinien dopełnić je wskazaniem, że trzeba stworzyć w Polsce gospodarkę zamkniętą. Wówczas dopiero jego hasło miałoby rzeczowe warunki realizacji. Bez tego, — jest wprowadzającym w błąd frazesem.

M. P.

ŚWIAT KSIĄŻKI

Poeta miłości i pejzażu

Życie Tadeusza Kończyca upływa w kołowrocie redakcyjnym, pomiędzy recenzjami teatralnemi, rozmowami z tysiącem interesantów, obowiązkami sekretarza, a prezesurą Zaiksu i tysiącem zajęć pobocznych, na które ten człowiek pozornie powolny znajduje czas i niewyczerpaną energję. Na marginesie niejako tego pracowitego życia powstają jego poezje przesiąknięte szczerym liryzmem i zdumiewające nieraz brawurą formy, chociaż w niektórych utworach zdradzają raczej bezpretensjonalność i nieco zadaleko posuniętą prostotę.

Zbiór p. t. „Sielanka" posiada wszystkie cechy jego talentu. W „Sielance" Kończyc redaktor, prezes i Bóg wie kto tam jeszcze znika, a staje przed nami poeta miłości i pejzażu z całym aparatem środków, pochodzących ze wszystkich epok minionych, wśród których brak jednak chwytów dzisiejszych, celowo i konsekwentnie unikanych.

Do najlepszych należy w zbiorku poemat p. t. „Wiosna nad Jeziorem Malär". Zarówno arcy trudny i arcy śpiewny „vers-libre"yzm tego poematu, jak i na bardzo wysokim poziomie stojący materjał słowny, bogactwo środków artystycznych, rym i rytm świadczą, że Kończyc należy do pisarzy, od których z całą surowością można wymagać daleko większych wysiłków i osiągnięć, niż te, które na marginesie swego życia i jakby od niechcenia nam daje.

Zdolność poety do odtwarzania pejzażu łączy się ze skłonnością do refleksji. W ten sposób powstaje typ pejzażu refleksyjnego, rodzaj, który ma zapewne oddawna swoich przedstawicieli, ale który poeta reprezentuje z jemu tylko właściwym wdziękiem świadomej naiwności. Na dnie jego refleksji czają się smutek i depresja — dwa stany duchowe nieodłączne od tego rodzaju natur, wrażliwych ponad miarę na miłość i na piękno przyrody. Pewien stan nieustannego nienasycenia cechuje jego prześliczne erotyki i sprawia, że odwieczna tęsknota do szczęścia staje się dla niego jedynie nigdy nieosiągalnym mirażem. Z tem uczuciem zawodu i nieustannej tęsknoty idzie przez życie.

Juljusz Wirski.

Łyżwiarze



P. Z. Ł., W. T. Ł. i wszystkich stołecznych klubów łyżwiarskich, aby zjednoczyły swe wpływy i wysiłki i zdobyły dla Warszawy — sztuczne lodowisko!

Sztuczne lodowisko!

Sztuczne lodowisko to nietylko rozwój łyżwiarstwa stołecznego, to nietylko regularny rezerwuar zdrowia dla młodzieży szkolnej stolicy, to możliwość propagandowych spotkań z łyżwiarzami zagranicy, to *pewna* możliwość urządzania międzynarodowych konkurencji w stolicy.

Sportowa strona zawodów dwudniowych w Dolinie wykazała dwie wspólne cechy zawodników śląskich. Pierwsza to widoczna troska o płynność i harmonję linji ciała, o opanowanie figury i postawy — jest to cecha całej drużyny. Wyraziła się ona w lekkości i gracji ruchów, w posuwistości wszystkich wyko-

Na starcie zawodów. W grupie członków zarządu W. T. Ł. pośrodku stoją pp. Żmudzińska, gen. Wieniawa - Długuszowski, b. prezes P. Z. Ł., L. Chrzanowski. W grupie widzimy pp. Nowakowskiego, Martensa, Tomaszewskiego, Makowskiego, Krawczyńskiego, Alberga — prezesa S. T. Ł.



Wjazd zawodników na tor. W pierwszym rzędzie p. Żmudzińska, p. Martens, prezes komisji sportowej W. T. Ł., p. Alberg, prezes Śląsk. Tow. Łyżw., p. Bereżnicki (W. T. Ł.)

Fot. Jan Ryś

Do Warszawy zjechali po raz pierwszy w tak licznem gronie łyżwiarze śląscy. Dotychczas Warszawa znała tylko mistrzowską parę Śląska, pp. Żmudzińskich — obecnie pod wodzą prezesa Śląsk. Tow. Łyżwiarskiego, p. Alberga, przybyła drużyna młodzieży utalentowanej i świetnie się zapowiadającej. Trudno w zastosowaniu do zawodników na lodzie stosować utarte zdanie o „narybku",—jest to raczej „nalodek", przynoszący pracy Śląskiego Towarzystwa istotny sukces. Pokaz ten, urządzony przez Warszawskie Tow. Łyżwiarskie w Dolinie, był niezwykle udany, a przyglądająca mu się sportowa i elegancka publiczność w liczbie około 2000 osób dała świadectwo, iż sportowe imprezy i inicjatywy W. T. Ł. mogą liczyć na wyrobienie sobie własnych zapalonych zwolenników. Ożywienie sportowych poczynań W. T. Ł. (kilkakrotne pokazy jazdy młodzieży, sprowadzenie zawodników węgierskich, śląskich) świadczy, iż tegoroczny „jubilat" nietylko chce pretendować do wieńca zasług za przeszłość, ale że sportowa linja jego teraźniejszości jest i będzie coraz żywszym wyrazem jego działalności.

Zawody w Dolinie były jaskrawym dowodem, co znaczy dla łyżwiarstwa sztuczne lodowisko. Ujrzeliśmy bowiem wychowanków Katowic, o których istnieniu dwa lata temu (z wyjątkiem pp. Żmudzińskich) wogóle nikt nie wiedział. Zdaje się że nawet same Katowice.

Dziś są to zawodnicy groźni dla każdego „mistrza" czy mistrzyni Polski — musimy się z tego cieszyć, bo będzie to niewątpliwie czynnikiem podniesienia poziomu całego łyżwiarstwa, ale musimy też coraz usilniej wołać pod adresem wszelkich władz, pod adresem

Mistrz Polski Iwasiewicz i najlepszy zawodnik Śląska Grobert



Śląscy w Warszawie



nanych figur. Druga cecha niezwykle pożądana to karność i solidarna ambicja zawodników — czuć było, że każdemu z osobna nie chodzi wyłącznie o swoje powodzenie ale równomiernie o sukces całej drużyny.

Te ogólne cechy sprawiły, iż drużyna śląska wstępnym bojem zyskała sympatję Warszawy. Precyzyjna, pomysłowa i wykończona estetycznie jazda pp. Żmudzińskich zbyt jest już znana i uznana, aby ją szerzej omawiać, natomiast z zadowoleniem podkreślić musimy debiut ich dziesięcioletniej córeczki, wykazującej duże zdolności i stwierdzającej „ciągłość" impetu sportowego w rodzinie mistrzowskiej pary Śląska. Specjalne wyróżnienie należy się mistrzyni Polski p. Popowiczowej, której forma, start elegancja i tempo jazdy wzbudziły zachwyt. Niestety, mistrzyni nasza uległa wypadkowi w połowie wykonywanego programu; *pomimo bolesnego, silnego stłuczenia* program swój wykonała wysiłkiem woli i ambicji. Niemal bezpośrednio po zakończeniu popisu odwieziono ją do domu. Jakiż to hartu przykład dla wszystkich naszych sportowców. Wśród młodzieży śląskiej doskonale zapowiada się młodziutka para Kalusów, którzy do ogólnych zalet jazdy łyżwiarzy śląskich dołączają prostotę i których staranne kierownictwo ustrzegło przed „pozą" i tak łatwem w młodziutkim ich wieku strojeniem się w mistrzowskie fochy. Grobert, Breslauerowie, Sojka, Bzdokówna, Ziajówna i Preisówna dowiedli, że mają wielką przyszłość — doszli już do momentu, gdy praca, doskonalenie się i sportowa ambicja mogą ich zaprowadzić daleko.

Uroczystość sporotwa zakończyła wieczorem w miłym koleżeńskim nastroju spożyta wspólna kolacja, strzemienna

Spirala śmierci — pp. Żmudzińscy mistrzowska para Śląska, zaprezentowała Warszawie swą wykończoną, pomysłową, estetyczną jazdę



Mistrzyni Polski p. Popowiczowa zachwycała publiczność w Dolinie doskonałością swej formy, harmonją ewolucji i sportową ambicją, zdobywając poklask i ogólną sympatję.

Fot. Jan Ryś

Młodociana i rokująca wielkie nadzieje para — rodzeństwo Kalusowie



przed wyjazdem ślązaków z Warszawy. W lokalu W. T. Ł. reprezentanci i zawodnicy zasiedli społem, dzieląc się wrażeniami i uwagami.

Przemówienia wykazujące potrzebę wysiłku sportowego wszystkich tow. łyżwiarskich w pracy nad podnoszeniem poziomu łyżwiarstwa, oraz zawierające serdeczne nuty sportowego koleżeństwa pomiędzy Śląskiem i Warszawą wygłosili pp. Bodlewski w imieniu W. T. Ł., Z. Nowakowski — I wiceprezes P. Z. Ł., Albert, prezes S. T. Ł., Martens (W. T. Ł.), Biliński (S. T. Ł.) oraz kapitan sportowej drużyny śląskiej p. Lubina. Na zakończenie ślązacy wręczyli W. T. Ł. piękny posążek górnika śląskiego, wykuty z jednej gryły węgla.

Tak się zakończył pierwszy pokaz. Zawodnicy Warszawy, na was kolej!

* * *

W zakresie jazdy szybkiej mamy do zanotowania również pocieszające rezultaty. Padł dawny rekord polski na 3 km. wynoszący 5.43 i od 11-u lat atakowany bezskutecznie. Wytrawny nasz mistrz Kalbarczyk w zaciętej walce ze stale robiącym postępy w stylu i szybkości Dobrzyńskim zwycięsko rozprawił się ze starym rekordem.

Nowy rekord polski na 3 km. wynosi obecnie 5.31; zaznaczyć należy z zadowoleniem, że i zajmujący drugie miejsce Dobrzyński również pobił dawny rekord, mając czas 5.34.

Na podkreślenie zasługuje, że oba te zwycięskie czasy ustalone zostały przy bardzo utrudniającym bieg wietrze.

Old-boy.



Minister August Zaleski, prezes honorowy A. P. A.



Prezes dr. Henryk Gruber, prezes honorowy A. P. A.

TYDZIEŃ ŚWIATA

„Konsulat dobrej woli" — A. P. A. w Polsce

Od trzech lat istnieje w Anglji All Peoples' Association, zwane A. P. A., co w tłomaczeniu na polski język oznacza Stowarzyszenie Wszystkich Narodów. Założycielem jego jest jeden z najwybitniejszych działaczy społecznych na świecie, Sir Evelyn Wrench, właściciel wpływowego tygodnika „Spectator". Założył on uprzednio „The British Overseas League", łącznik pomiędzy Anglją i jej kolonjami, i „English Speaking Union", łącznik pomiędzy Anglją i Stanami Zjedn. Trzecim etapem jego działalności jest All Peoples's Association, które postawiło sobie za zadanie zbliżenie wszystkich narodów świata. Celem A. P. A. jest zacieśnienie węzłów przyjaźni pomiędzy narodami świata, usuwanie uprzedzeń i nieporozumień międzynarodowych. A. P. A. propaguje zapoznawanie się narodów przez osobisty kontakt ich przedstawicieli, przez korespondencję, radio, wymianę profesorów i studentów. Oddziały A. P. A. istniejące w różnych krajach mają stać się prywatnymi „konsulatami dobrej woli". Członek A. P. A. po przyjeździe do obcego kraju jest przyjmowany przez odnośny oddział A. P. A., zapoznawany z miejscowymi członkami i doznaje ułatwień wszelkiego rodzaju w swych poczynaniach. Centrala A. P. A. wydaje w Londynie miesięcznik w kilku językach, urządza „Wieczory Międzynarodowe" i zebrania. Między innemi urządziło „Wieczór Polski". Wziął w nim udział nasz ambasador, a na sali obecnych było przeszło 800 osób. A. P. A. posiada w Londynie własny klub w najwytworniejszej części miasta, przy Arlington Street.

Z inicjatywy Dr. Henryka Grubera, Prezesa Polskiego Instytutu Współpracy z Zagranicą, Prezesa P. K. O., powstał w Polsce Oddział A. P. A. W lokalu Instytutu, Marszałkowska 153, mieści się lokal Polskiego Oddziału, w którym odbywają się odczyty o wszystkich kolejno krajach Europy, zebrania i obchody. Do A. P. A. może należeć każda osoba o nieskazitelnej czci obywatelskiej, bez różnicy wyznania, pochodzenia, przekonań politycznych i społecznych. Honorowymi prezesami Polskiego Oddziału A. P. A. są: pp. August Zaleski, b. min. spraw zagranicz. i dr. Henryk Gruber, prezes P. K. O., prezesem Zarządu jest mecenas W. Łypacewicz, wiceprezesami: senator J. Targowski i poseł L. Tomaszkiewicz, skarbnikiem Dr. A. Benis, sekretarzem Jerzy Życki.

W tygodniu bież. odbyło się pierwsze odczytowe zebranie A. P. A., na którem v.-konsul honorowy W. Brytanji, p. Legget, wygłosił ciekawy referat p .t. „A City Man Takes a Busman's Holiday".

Przeciw kumulacji

(Wig.). Z powodu afery Stawiskiego 300 adwokatów paryskich złożyło petycję o zakazanie prowadzenia spraw adwokatom, piastującym mandat parlamentarny. Identyczny wniosek zgłosił w Izbie Deputowanych jeden z posłów opozycyjnych. Kwestja ta istotnie wymaga uregulowania. Jest ona aktualna nietylko we Francji, ale i w innych krajach, posiadających przedstawicielstwo narodowe, nie wyłączając Polski.

Kumulowanie obowiązków adwokackich z poselskiemi często wywołuje dwuznaczne sytuacje, podkopujące dobrą opinję ustroju parlamentarnego lub rzucające cień na

palestrę. Z naszej niedługiej jeszcze historji parlamentarnej można przytoczyć wiele przykładów, przemawiających przeciw łączeniu praktyki adwokackiej z mandatem poselskim. Pamiętny jest fakt pociągnięcia posła-adwokata do odpowiedzialności za krytykę sądownictwa na wiecu. Tłumaczył się, że działał wtedy jako poseł nietykalny, nad którym Rada Adwokacka nie może roztaczać kontroli. Inny znów poseł-adwokat oskarżony był o wyjednywanie dzięki swym stosunkom politycznym koncesji na apteki. Uniewinniono go, gdyż okazało się, że działał wtedy w charakterze adwokata.

Nieporozumienia takie są jednak bardzo przykre. Mogłoby się naprzykład zdarzyć, że poseł-adwokat uchwalałby w parlamencie podatki, od których później chciałby uwolnić swoich klijentów. Nigdyby nie było wiadomo, kiedy występuje w roli przedstawiciela dobra publicznego, a kiedy w imię interesu prywatnego. Dla uniknięcia takich qui pro quo, należy zabronić parlamentarzystom prowadzenia spraw, jak zakazuje się im otrzymywania od rządu koncesji, nabywania dóbr państwowych i wogóle wchodzenia w jakiekolwiek stosunki handlowe ze skarbem państwa. Moralność publiczna tylko na tem zyska.

Z Filharmonji



Znakomity pianista francuski, Alfred Cortot

Na 15-tym wielkim koncercie filharmonicznym wystąpił Alfred Cortot. Francuski mistrz fortepianu grał z orkiestrą koncert Beethowena op. 15. Wykonał go pięknie: dzieło beethovenowskie ukazało się w pełni swej treści, w formie nadzwyczaj opanowanej, we szystkich szczegółach sharmonizowanej. Wielki wirtuoz odniósł znakomity sukces.

Publiczność, wypełniająca do ostatniego miejsca salę Filharmonji, oklaskiwała gorąco i Jaschę Horensteina, nadzwyczaj utalentowanego kapelmistrza, który tym razem wyprowadził na szerokie wody interpretacyjne 4-tą symfonję Brahmsa, uwerturę do „Śpiewaków Norymberskich" Wagnera i bardzo interesujący poemat symfoniczny „Nevermore" Eugenjusza Morawskiego.

Był to jeden z najbardziej udanych wieczorów w bieżącym sezonie koncertowym.

Senjor dyktatorów



Gen. J. W. Gomez

(V.) W tych dniach piękne, wesołe, choć niewielkie miasto Caracas obchodziło niezwykłą uroczystość: 25-lecie panowania prezydenta republiki wenezuelskiej, gen. Gomeza. Rzadki to wypadek, aby szef państwa republikańskiego doczekał srebrnego jubileuszu; w Europie zazwyczaj urząd ten piastuje się 7 lat, w Ameryce — 4, o ile nie nastąpi wybór ponowny. W Wenezueli gen. Juan Wincente Gomez potrafił utrzymać się na stanowisku prezydenta ćwierć wieku bez przerwy, nie będąc właściwie nigdy nawet na to stanowisko wybranym.

Tak się bowiem złożyło, że w 1908 roku prezydentem Wenezueli został p. Castro. Wkrótce po wyborze zapragnął on „przewietrzyć się" w Paryżu, polecając swojemu ministrowi skarbu, aby mu przesłał tam 2 miljony franków w złocie na drobne wydatki i pozostawiając, jako swego zastępcę, wiceprezydenta gen. J. W. Gomeza. Gdy prezydent Castro wylądował w Hawrze, dowiedział się z pism, że zastępca jego zakazał wysyłki jakiejkolwiek sumy prawowitemu prezydentowi, wydał polecenie aresztowania go w razie powrotu do kraju i sam ogłosił się prezydentem Wenezueli.

Odtąd rządził tam samowładnie, pozwalając nadal istnieć parlamentowi, stosującemu się do jego rozkazów, i utrzymując bez zmiany konstytucję republikańską, interpretowaną w odpowiedni sposób. Gen. Gomez był w sile wieku, gdy obejmował władzę; dzisiaj liczy już 74 lata. Będąc z pochodzenia metysem, odznacza się gwałtownością charakteru, bezwzględnością i okrucieństwem wobec przeciwników. W ciągu 25 lat rządów zdołał zresztą pozbyć się ich i dzisiaj jest zupełnym panem Wenezueli. Nietylko bowiem dzierży w swych rękach władzę polityczną, lecz i bogactwa tego kraju. Jest posiadaczem trzeciej części całego majątku narodowego: obszarów ziemskich, kopalń złota i nafty, plantacji kawy, cukru i tytoniu. Rezydencja jego Maracai słynie z przepychu, bogactwa — i złego gustu. Dla swych gości i przyjaciół utrzymuje tam cały hotel; w pobliżu założył wspaniały park p. n. „Delicia", gdzie hoduje najprzeróżniejsze zwierzęta i rośliny, a także dzieci, wnuki i prawnuki ze swych kilku małżeństw. Rozrosła rodzina dyktatora stanowi dziś poważny odsetek ludności Wenezueli i zajmuje wszystkie wybitne stanowiska w państwie. Nic więc dziwnego, że jubileusz dwudziestopięciolecia rządów był wielką uroczystością, wspaniale obchodzoną w całym kraju, a sędziwy władca, zasługujący na nazwę senjora dyktatorów, otrzymał z Ameryki i Europy liczne depesze gratulacyjne. Na obu bowiem półkulach tak pięknie reprezentowana przez niego forma rządów, zwana „el cesarismo democratico", zyskuje coraz więcej naśladowców i zwolenników.

MODA
NA ŚNIEG I LÓD

„Białym sportem" licho wie dlaczego nazywa się ogólnie tennis — chyba dlatego, że biega się po placu *szarym, rudo-czerwonym*, albo *zielonym*. Tymczasem białemi są naprawdę wszystkie sporty zimowe: kiedyż oglądać możemy wspanialsze białości, jak w górach na nartach, na saneczkach, przy hokeyu lodowym, czy na ślizgawce?

Ale mniejsza o nazwę. Może poprostu tennis bierze ją od niepokalanie białego kostjumu, który obowiązuje na placu. Żadnemu szanującemu się graczowi, a już tembardziej szampionce, nie przyjdzie do głowy prezentować podczas gry kropek, kratek, czy paseczków, i żadna nie odważy się zaryzykować gry w sukni kolorowej.

Oczywiście o ile dba o „styl". Poprostu ani jedna piłka jej „nie wyjdzie", jeśli nie jest ubrana odpowiednio.

Nie każda kobieta wie, na czem polega „styl" przy sportach zimowych.

A można się ubrać ślicznie i sportowo, aby tylko zachować niektóre aksjomaty podstawowe.

Więc na narty wybierać najlepiej kostjum norweski, złożony z długich spodni wełnianych impregnowanych, granatowych lub czarnych. Do tego kurtka z tego samego materjału, dla pań bardzo szczupłych ucięta w pasie i zapięta na cztery guzy. Panie okrąglejsze przezornie zrobią, wybierając fason kurtki mniej ryzykowny, zwykły sportowy z paskiem.

Żadnych „na wierzch" kolorkowych sweterków, bo się wygląda jak „Sonntagsreiter". A już jak ognia unikać dość u nas rozpowszechnionej, romantycznie zwanej *„Symphonie en blanc majeur"* — czyli kostjumu białego na śnieg. Wygląda to zawsze niestety poprostu brudno, — a taka *„Symphonie en sale mineur"* uroku kobiecie nie dodaje. Na nogi wielkie, grube buciska sznurowane, i kilka par ciepłych pończoch (wełnianych, a na skórę jedwabnych).

„Boże, jak brzydko i jak monotonnie", — westchnie niejedna miejska ślicznotka.

— Ale gdzietam, piękna pani: zostawiono nam jeszcze parę punktów, gdzie rozwiniemy naszą najbardziej kolorową fantazję — ale przestrzegać będziemy pilnie znakomitego sharmonizowania barw. Więc wywinięte na buty grube wełniane skarpetki, takież grube wełniane rękawice o jednym palcu, szalik włóczkowy na szyję i czapeczka zawadjacko na czubek głowy wsadzona — oto niewielkie ale wystarczające pole dla naszej pomysłowości. Te cztery detale powinny stanowić komplet o barwach żywych, jaskrawych, które rozweselą poważny kostjum sportowy i świetnie grać będą w słońcu i na śniegu. Kombinacje dowolne: np. pomarańczowy z bronzowym, cytrynowy z szafirowym, czerwony z białym i czarnym — dają niezawodne efekty.



Gdy po dłuższym marszu wróci pani do schroniska, kurtkę impregnowaną proszę zdjąć, a pod nią ukazać pull-over ściśle tonem dobrany do czapeczki, szalika etc. Pod swetrem nosić możemy jeszcze dla ciepła flanelową szarą bluzkę z męskim kołnierzykiem, a pod nią trykotową jedwabną bieliznę, aby wełna nie drażniła skóry.

A z takim ekwipunkiem — jazda i dobrej zabawy!

* * *

Bywają istoty tak pozbawione poczucia komizmu, iż w takim stroju pokazują się... w Dolinie Szwajcarskiej na ślizgawce. „Wybaczcie im, bo nie wiedzą, co czynią". — Co na nartach jest celowe, estetyczne i eleganckie, na ślizgawce wygląda tylko śmiesznie. Bo strój do łyżew zupełnie inne stawia wymagania.

Przedewszystkiem żadnych długich spodni, tylko suknia, i to suknia bardzo kobieca: ślizgawka niedarmo jest sportem zbliżonym do tańca. Urocza szampjonka świata, Sonia Henje, *tańczy* na łyżwach „Umierającego łabędzia". Więc suknia krótka princesse (dla prawdziwych szampjonek, jak dla baletnic, do kolan, — dla gorszej klasy do pół łydki). Spódniczka formy kloszowej, bardzo szeroka u dołu, co w ruchu tworzy piękne płynne linje. Stanik opięty, krajany razem ze spódnicą, zapinany od szyi do pasa z przodu na rząd małych guziczków albo na „błyskawicę". Trochę futra przy ręku, przy szyi i futrem obszyty kant spódniczki — oto „toaleta" na lód najstylowsza. Maleńka czapeczka dobrze na głowę wciśnięta, — i już jesteśmy gotowe.

Zrobimy suknię na ślizgawkę z ciemnej miękkiej wełny albo — co wytworniejsze — z czarnego welwetu, to zawsze nobliwie wygląda. Ponieważ jednak ten kostjum nie jest bardzo ciepły — gdyż dla czystości linji nie może być pod spodem niczem „wypchany" — więc kto stawia pierwsze kroki na lodzie, lepiej zrobi, kładąc poprostu krótką kloszową spódnicę, a do niej dwa, trzy pull-overy jeden na drugi. Można je w czasie ślizgawki ściągać w miarę rozgrzewania się ruchem.

Dopóki nie jesteśmy jeszcze bardzo pewne naszych „holendrów" — przezorniej będzie nadmierną elegancją nie zwracać ogólnej uwagi.

Lustucru.

NA NARTACH

Gdy zobaczę człowieka, umiejącego się zwinąć w kłębek tak, że można go włożyć do plecaka lub małej walizeczki, podejrzewać go będę, że zaczynał swą karjerę akrobatyczną jako narciarz, jadący na święta w góry, tak jak my— pociągiem osobowym, klasą trzecią.

Znosząc cierpliwie tortury cielesne, nie pozwalające na najmniejsze poruszenie się w zapchanym przedziale, upajamy się myślami o bliskiej przyszłości, o wspaniałej, rozsłonecznionej przestrzeni, pokrytej grubą warstwą czystego białego śniegu.

Po kilkunastu coraz to dłuższych godzinach ciasnoty i zaduchu wyskakujemy wreszcie z wagonu w balsamiczne poronińskie powietrze. Poddajemy się płynnemu ruchowi sań. Spokój górskiego pejzażu — a bardziej może zmęczenie podróżą — sprawiają, że w białej ciszy i milczeniu dojeżdżamy do schroniska.

Dopiero po przespanej nocy możemy ze zrozumieniem spojrzeć w oczy pięknu.

Pogoda trochę zawiodła. Zwykle widać stąd wspaniałą panoramę Tatr od Osobity aż po Hawrań i Murań. Dziś góry zasnuły się ciemną mgłą. Tylko tu i ówdzie otwiera się w niej okno, w którem snop promieni ukrytego słońca rozświetla jakiś fragment górskiego łańcucha: białawe, kopulaste wzgórze z połacią czarnego lasu, skałę pooraną wyrwami, z leżącym w bruzdach śniegiem. Szczyty drzemią w szarem morzu. Oczy chłoną wielkie przestrzenie pokrytych bielą pagórów, które przy brudnem niebie tem bielszemi się wydają. W obrazie tym zatraca się rzeczywista odległość. Czujemy nieprzepartą ochotę przelecieć po tych wspaniałościach, chyżością ruchu ożywić martwotę olbrzymów. Cóż bowiem łatwiejszego: para samoślizgających się desek zastępuje nam skrzydła!

Ruszamy.



„Patałach"



Telemark

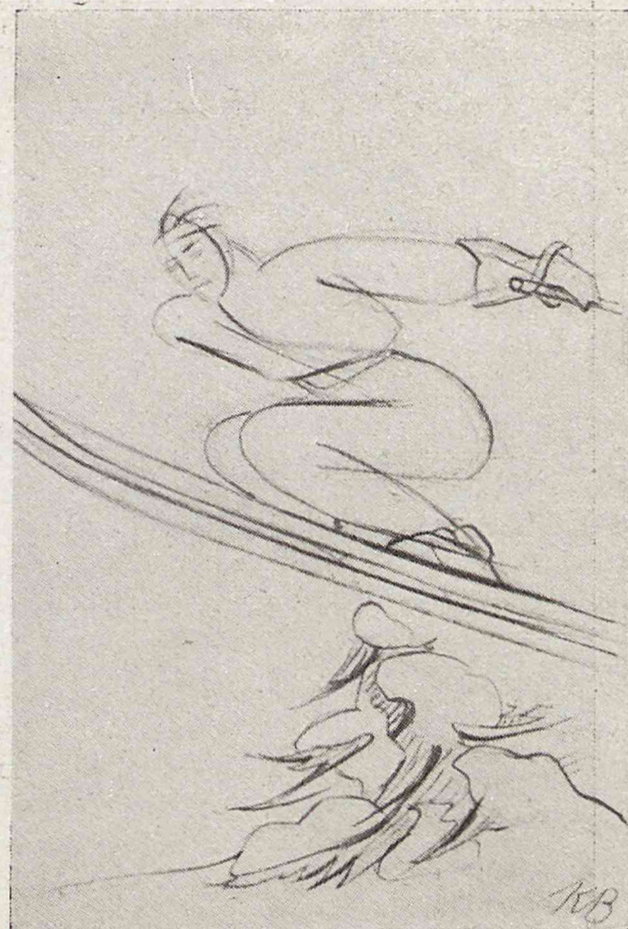
Suniemy cicho...

Coraz mniejszy opór pod nogami uświadamia nam siłę rozpędu. Ciszę przerywa tylko chrzęst śniegu, rozsypującego się pod naciskiem nart. Pęd powietrza tamuje oddech. Uginamy sprężyście kolana, poddając się ruchowi. Przed nami ostre dzioby nart prują skrzące morze puchu, za nami — dwa śnieżne pióropusze łączą się w biały tuman.

Zostawiamy po sobie dwie niebieskie smugi, rysujące się na gładkim stoku, na którym liczne małe ślady łapek świadczą nietylko o naszej bytności.

Pędzimy!

Lecz oto góry stają się niedostępnymi olbrzymami, las szeregiem wrogów, starających się podstawić nam nogę — i raptem stykamy się nosem z zimną białą rzeczywistością. Oblepieni plackami śniegu, mkniemy dalej, podczas gdy *„ostatnie patałachy"* pocieszają się, że i mistrzom zdarza się leżeć.



Skok

A mistrze kłują w oczy wspaniałą jazdą, niedbałym ruchem ramion nadają „fason". O takim mówi się: „ten ma dopiero styl". Różne style są chlubą szybkobiegaczy — „ścigantów".

Mistrze gwiżdżą na terenowe przeciwności, f r u w a j ą przez krzaczki, przeskakują rowy; szusują z gwizdem w uszach i łzą w oku z najbardziej stromych gór, byle kąt nachylenia ściany na to jeszcze pozwalał, przyczem, w najszybszym pędzie, nagle się zatrzymują, stając wpoprzek do kierunku zjazdu. Ta niewinna ewolucja zwie się christianią, i jest zabawką „w nogach" mistrzów, a niedostępnem marzeniem „patałachów".

Skoki, obskoki, jakobseny i telemarki podnoszą klasę jazdy. Najefektowniejszą i najtrudniejszą ewolucją są jednak skoki na odległość z dużej wysokości. Mistrzowie skoczni wzbudzają największy podziw widzów.

Nie wszyscy marzymy o laurach zawodników. Swoboda w opanowaniu trudności terenowych wystarcza nam w zupełności. Trzeba nam tylko mrozu, śniegu i pogody!

Krystyna.

Świat teatru

Najbliższe premjery w b. Teatrach Miejskich

(„Marja Stuart", „Iwar Kreuger", „Tak a nie inaczej")

Teatr Narodowy pracuje obecnie nad „*Marją Stuart*" Fryderyka Schillera. Przekład poetycki wyszedł z pod pióra świetnego tłomacza „Don Juana" Zorrili — Stanisława Miłaszewskiego; reżyseruje Karol Borowski; projekty dekoracyjne przygotował St. Jarocki.

Obsadę „Marji Stuart" stanowią: królowa Elżbieta — Pancewiczowa, Marja Stuart — Malicka, Robert Dudley — Leszczyński, Talbot — Zyg. Chmielewski, Cecil — Buszyński, Anna Kennedy — Jasińska, Mortimer — Sawan, Małgorzata — Jarszewska, Melwiel—Różycki; Dominiak, Karczewski, Roland, Strzelecki, W. Ziembiński, Rapacki, Kiedrzyński, Kajzerówna i inni.

Teatr Letni przygotowuje sensacyjny reportaż autora „Fräulein Dockor", Jerzego Tepy, osnuty na dziejach króla zapałczanego, p. t. „Ivar Kreuger".

Utwór ten, którego prapremjera odbyła się świeżo w teatrze lwowskim, zyskał tam odrazu sukces u publiczności i żywe przyjęcie w krytyce.

Tytułową rolę Kreugera i jego sobowtóra grać będzie Węgrzyn, inne postaci odtworzą: Bonecki, Kurnakowicz, Znicz, Hnydziński, Lindorfówna (główna rola kobieca Susetty), Macherska, Zb. Ziembiński, Nakoneczna, Ciecierski, Norski, Wroncki, Kiepura, Kustowski, Szabłowski, Michalak i inni. Reżyseruje Zb. Ziembiński, dekoruje Miecz. Różański.

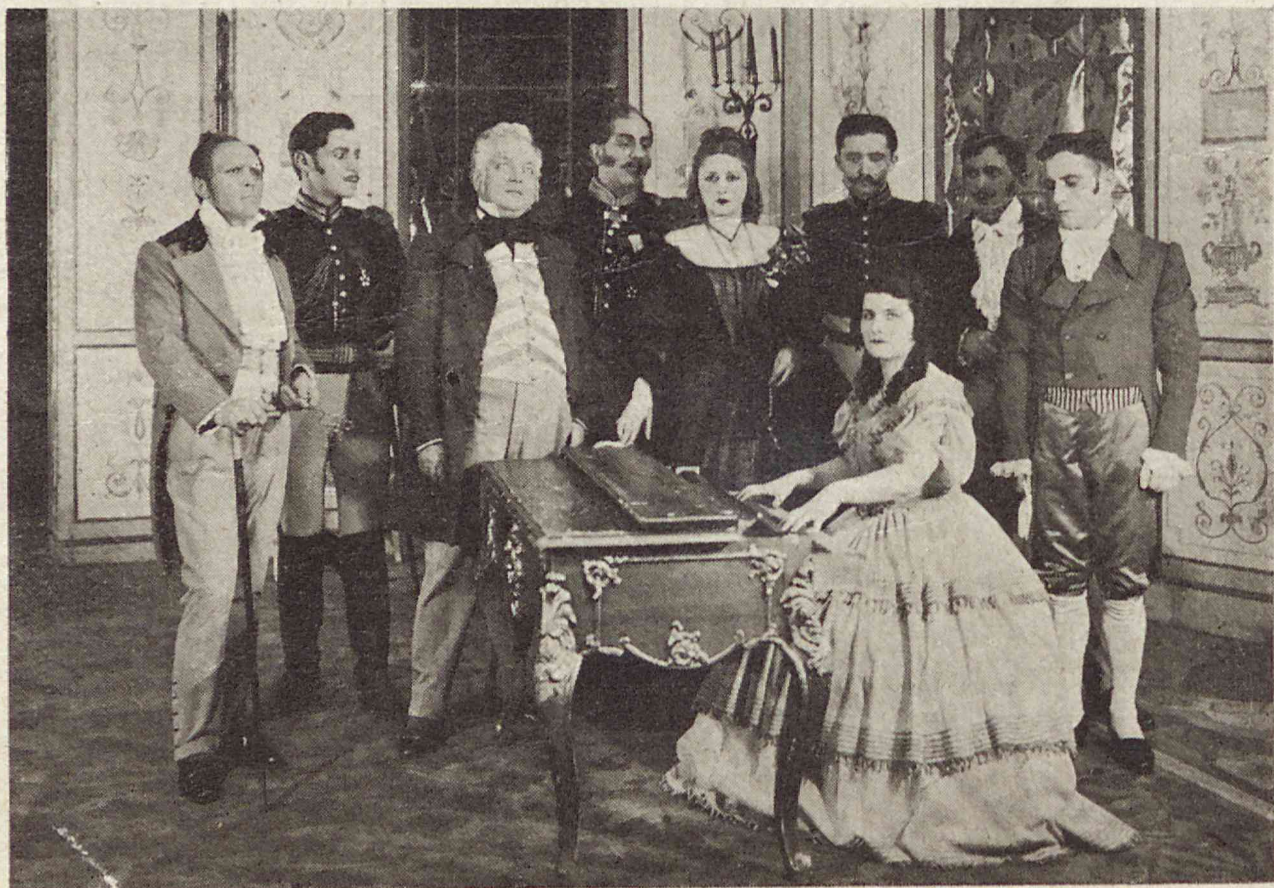
Teatr Nowy, jako najbliższą premjerę wysawi nową sztukę Marjusza Maszyńskiego: „Tak, a nie inaczej", która już w Krakowie i Wilnie w ub. r. zyskała powodzenie. Maszyński, na ten raz — przeniósł akcję swej sztuki do środowiska teatralnego, które oczywiście zna najlepiej.

Główne role grać będą: Lubieńska, Łapiński (dyrektor teatru) i Maszyński (autor), który równocześnie reżyseruje sztukę. W mniejszych rolach epizodycznych wystąpią: Oranowska, Kornacka, Chojnacka, Kawińska, Janowski, Myszkiewicz i inni.

(Ski).

„Towariszcz" w Teatrze Letnim grany jest z rekordowem powodzeniem dzięki niezrównanej grze Ćwiklińskiej i Leszczyńskiego

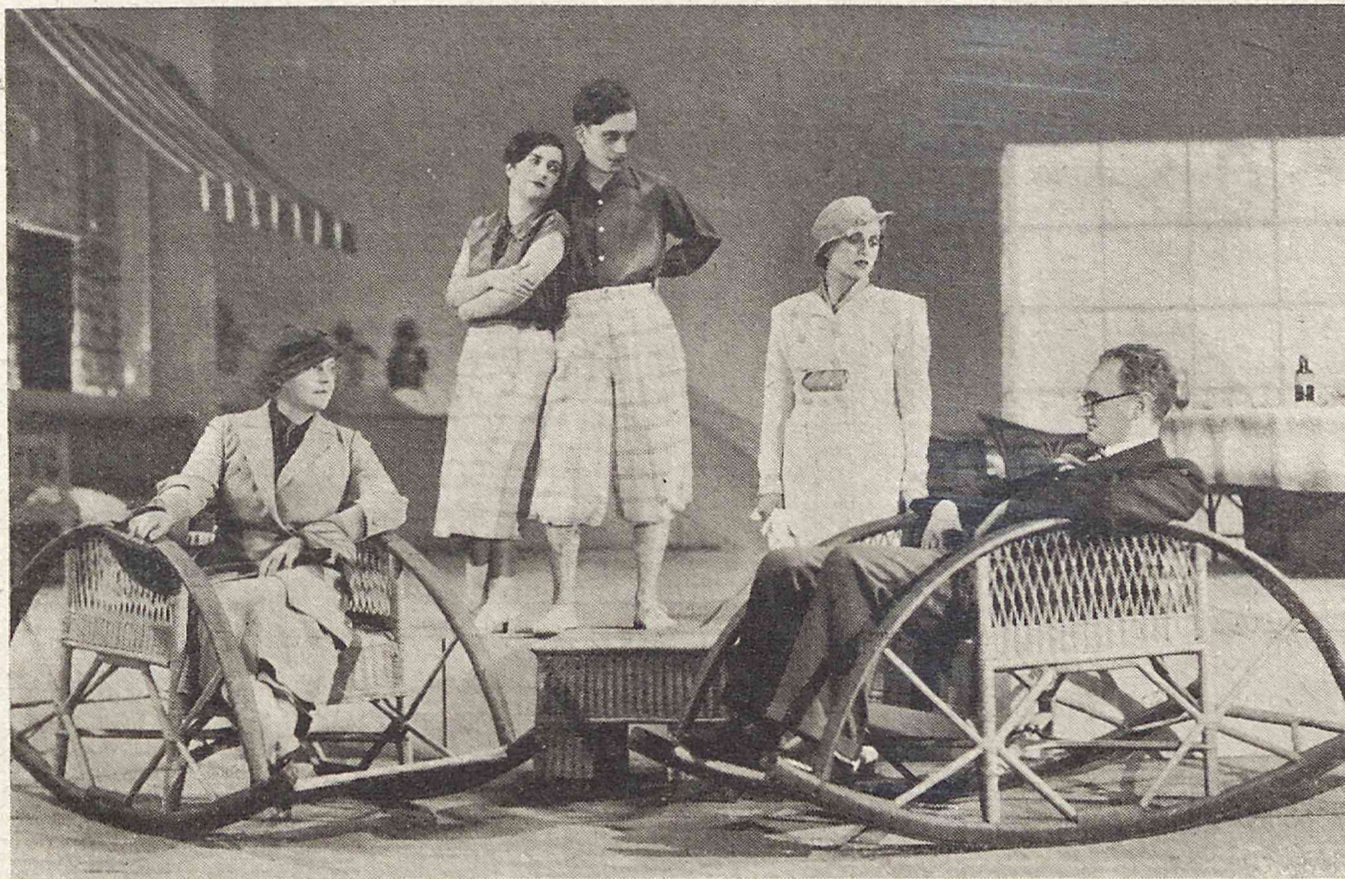
Fot. Jan Malarski



Scena zbiorowa z „Emilji Plater" w Teatrze Wielkim

Z Balu Mody

Kulminacyjny moment karnawału warszawskiego, Bal Mody, od szeregu lat rozdający między piękne panie berła i korony królewskie za elegancję i urodę, znajdzie wspaniałe echo w następnym numerze „Świata". Ujrzymy najwytworniejsze toalety z Balu Mody i najbardziej urocze królowe, które łaskawie pozwoliły się uwiecznić naszemu fotografowi. P. Zofja Targowska barwnie zda relację z przebiegu walk o berło i opisze najpiękniejsze toalety. Nawał materjału zmusza nas do odłożenia tej super-rewji mody do następnego numeru „Świata".



„Nigdy nic nie wiadomo“ Shaw'a w T. Narodowym

Fot. Jan Malarski

Komiczna scena z „Towariszcza“ w T. Letnim — Ćwiklińska, Walter, Leszczyński

PROGRAM FILHARMONJI

Wieczorny Koncert Symfoniczny

w dniu 19-ym stycznia b. r.

1) Dr. Adam *Sołtys*, dyrekcja.
Prof. Henryk *Czapliński*, skrzypce
Beethoven, Sen Nocy Letniej.
2) Beethoven koncert didur.
3) Beethoven 5 symfonja.
4. *Lalo* — symfonja hiszpańska, 3 części.

PORADY KOSMETYCZNE

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

P. Miecz. Bol. Myli się pan. To nie palenie jest winne, lecz pańskie zaniedbanie. Jeśli pan tak dużo pali bezwzględnie nie wystarczy jednorazowe mycie zębów. Prosimy spróbować czyścić zęby trzy razy dziennie pastą „Dentosan“, która odznacza się własnością usuwania kamienia nazębnego i nalotu tytoniowego, oraz dodatnio działa na dziąsła. Zęby wkrótce zbieleją, lecz musi pan uważać, by nie dopuścić na przyszłość do tak niemiłego stanu, jak obecny.

P. Zofji Krauczynisównie — z Nowogródka. Silnie zaczerwieniona, paląca skóra na łydkach " to oznaka odmrożenia. Zawdzięcza to pani prawdopodobnie noszeniu jedwabnych pończoszek. O ile niema ranek, należy stosować kąpiele zimne i gorące naprzemian z dodatkiem łyżki ałunu na jeden litr wody, aż do ustąpienia objawów chorobowych. Poza tem posiada prawdopodobnie pani skórę wrażliwą, koniecznem jest więc używanie kremów ochraniających, jak np. krem sportowy — „Antiba“, który znakomicie uodporni skórę twarzy i rąk.

P. J. Kl. w Warszawie. Nie podała pani, co właściwie było powodem tego nadmiernego wysuszenia i popękania skóry na rękach. Natychmiast prosimy zastosować kremy tłuste, zawierające lanolinę np. krem Ziołowy lub krem Lanola marki Antiba. Po dokładnem wtarciu kremu ręce zanurza się na chwilę w ciepłym odwarze otrąbek migdałowych lub w ciepłym mleku i wyciera do sucha, następnie można ręce przypudrować czystą mączką ryżową. Po kilkudniowych zabiegach ręce powrócą do normalnego stanu.

Zgon ś. p. Heleny Paderewskiej

O zmarłej w tych dniach ś. p. Helenie Paderewskiej znajdujemy kilka ciekawych uwag w biografji Paderewskiego, pióra p. Rom. Landau, która w języku angielskim ma ukazać się wkrótce w Londynie i w Nowym Yorku:

„Od chwili, kiedy pokochała Paderewskiego, pani Helena ubóstwiała w nim nietylko przyszłego małżonka, ale i wielkiego artystę. Aczkolwiek przewyższał on ją intelektualnie, obdarzona ona była niezawodnym instynktem, który zastępował jej braki, szczególnie w wykształceniu muzycznem. W połączeniu z jej wielką miłością, była to siła olbrzymia. Rzeczy, których nie znała, przyswajała sobie zapomocą uczuciowego zbliżenia. Dla niej był on wszystkiem, co bohaterski genjusz może znaczyć dla kogoś, kto był nietylko ubóstwiającą



Ś. p. Helena Paderewska

żoną, ale i uczuciową kobietą. Wydaje się wątpliwe, czy naprawdę kochała ona muzykę: skoro jednak muzyka była doskonałym sposobem dla jej męża wyrażania własnych uczuć, starała się ona pojąć muzykę, aby znaleźć w muzyce Jego. Była to dziwaczna mieszanina — romantyczne ubóstwianie i silny instynkt w skądinąd bardzo praktycznej kobiecie — ale to właśnie było drogowskazem w jej pożyciu małżeńskiem z Paderewskim.

Radośnie brała na siebie rolę żony i towarzyszki. Pomagała mu bardzo skutecznie w tysiącach drobnostek jego życia, wypełnionego sztuką. Broniła go przed ludźmi. Dbała o to, aby zawsze miał właściwe warunki pracy, dla odpoczynku i dla rozrywki. Powstrzymywała go od nadmiernych wydatków i innych ludzi wstrzymywała od nadużywania jego wspaniałomyślności...

„Bodajże ważniejsza od pomocy w drobnych sprawach życiowych była mniej uchwytna pomoc psychiczna. Paderewski był zawsze człowiekiem o wysokiem napięciu nerwowem, i praca jego oraz stanowisko zwiększały tę przyrodzoną skłonność... Pani Helena instynktownie czuła, że nie można oprzeć ich stosunku na prozaicznej poprawności... Czuła, że musi podniecać jego wewnętrzny ogień i odzwierciadlać jego zapał... Żadna przykrość nie powinna była zakłócać spokoju Paderewskiego przed koncertem: ani goście, ani listy, ani wiadomości. Aż do chwili wstąpienia na estradę mistrz widział u swego boku zadowoloną twarz żony. Nienawidził on posępnych twarzy. Każdy najdrobniejszy szczegół w życiu męża miał dla niej swoje głębokie znaczenie.

j. s.

Ś. p. Bolesława Grzędzińska

Spaliło się serce ofiarnie dla Ojczyzny bijące; odeszła z pośród żyjących zasłużona obywatelka, Bolesława z Filipowiczów Grzędzińska.

Gdy przyszła na świat w 1871 r., wytliły się już ostatnie ogniska styczniowego powstania i rozsnuły się po ziemi polskiej ciężkie dymy smutku i reakcji. Ale w domu rodzinnym Filipowiczów rosła i wychowywała się młoda Bolesława w atmosferze świeżych jeszcze wspomnień i legend powstańczych, z których utkwiła w niej na zawsze iskra romantyzmu polskiego. Z tym zniczem poszła też, jako młoda mężatka, wraz z mężem na daleką obczyznę, w głąb rosyjskiego Turkiestanu. Tu dom jej stał się przystanią ducha polskiego, ośrodkiem wysokiej kultury dla licznej emigracji polskiej w tym



Ś. p. Bolesława Grzędzińska

kraju — a tajne wieczory, poświęcone polskiej literaturze i sztuce, tchnęły zawsze wiarą i nadzieją ku nowym Jutrzniom Narodu.

W tym duchu wychowywała dwuch synów i córkę i hartowała do przyszłych bojów o Polskę.

Ze względu na bojkot wyższych uczelni rosyjskich, dzieci odwozi na studja do Paryża i wraz z niemi bierze udział w organizowaniu niepodległościowego ruchu młodzieży.

Wybuch wojny światowej zastaje ją w Paryżu, skąd przedostaje się z synami i córką do Krakowa, do Legjonów Piłsudskiego, nie bez trudności.

Gdy obaj synowie walczą na froncie, a córka zaprzęga się do najniebezpieczniejszej bodaj służby wojennej, jako tajny kurjer i emisarjusz komendanta Piłsudskiego, Bolesława Grędzińska oddaje nieocenione usługi pod pseudonimem Bolesławska w legjonowej pracy samarytańskiej oraz w pracy politycznej Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego i Komitetów Narodowych, ideologicznych odpowiedników Legjonów w Królestwie.

W pracy tej cechuje ją niezmiennie trwały, szlachetny entuzjazm dla Idei, energja i siła ducha, pozwalające wytrwać w ciężkich chwilach, których jej losy nie szczędziły, zabierając ukochanego syna Jacka Cekierę, dzielnego ułana Beliny, poległego pod Trojanówką w 1916 r.

A gdy nadchodzi kryzys przysięgi w Legjonach, znów staje do pracy ś. p. Bolesława Grzędzińska, organizując Wydział Opieki nad Legjonistami.

Przeszły chwile grozy i czasy walk, lecz i w Niepodległej Ojczyźnie Bolesława Grzędzińska nie zamknęła się w kole rodzinnem. Umiłowała przedewszystkiem wojsko, któremu oddała swych synów i stanęła między pierwszemi założycielkami Rodziny Wojskowej, jako członek Zarządu Głównego i Wiceprzewodnicząca Zarządu Warszawskiego.

I tu, jak zawsze, idzie ś. p. Bolesława Grzędzińska ku rzeczom najistotniejszym, ku pracy nad najmłodszymi obywatelami Rzplitej. Tu są ostatnie zasługi tej niezmordowanej bezinteresownej pracownicy społecznej, jako kierowniczki przedszkola w Rodzinie Wojskowej, szkoły powszechnej; przedszkola Tow. Opieki dla dzieci bezrobotnych i bezdomnych na Brzozowej. Od tego warsztatu umiłowanego oderwała ją dopiero śmierć.

Ś. p. Jan Ordęga

Dnia 3-go stycznia r. b. zasnął w Bogu w wieku lat 70, ś. p. Jan Ordęga, syn Jana i Michaliny z Korwin Bieńkowskich, właściciel dóbr Żelechów w ziemi Siedleckiej. Pochodził ze starej szlacheckiej rodziny, od setek lat osiadłej na niwie rodzinnej. Ukończywszy instytut agrono-



Ś. p. Jan Ordęga

miczny w Puławach poświęcił się umiłowanej pracy na roli.

Tak jak wszyscy z Jego rodu, odznaczał się wielkim umiłowaniem kraju ojczystego i ziemi na której pracował. Zmarły w myśl tradycji swego rodu, czynił wiele dobrego, nie szukając ani rozgłosu, ani zaszczytów. Wielkiej dobroci serca i zalet umysłowych, przytem wysoce muzykalny, stwarzał w koło siebie atmosferę dobroci i piękna, jednającą Mu tak wielu przyjaciół. To też liczny współudział rodziny, sąsiadów oraz nieprzeliczone rzesze ludu, odprowadzające Go na wieczny spoczynek do grobów rodzinnych, były dowodem głębokiego żalu jaki po sobie pozostawił.

BAL MŁODEJ ARCHITEKTURY



I nagroda na plakat Balu młodej Architektury, projekt. Sandecka i Nowicki

1 LUTY 1934

KOSZYKOWA 55

Na balu:

Rewja Mody
8 orkiestr
22 sale dekorowane
Elektorowicz
Bufet pod kierownictwem b. kierow. rest. hotelu Europejskiego

Przedsprzedaż biletów:

Związek Słuchaczów Architektury, Koszykowa 55
Orbis, Marszałkowska 98
Jcar, Krak.-Przedmieście 13
Francopol, Mazowiecka 11



II nagroda na plakat Balu Młodej Architektury, projekt. Poliński i Słomczyński

Zagadka kinematograficzna nierozwiązana

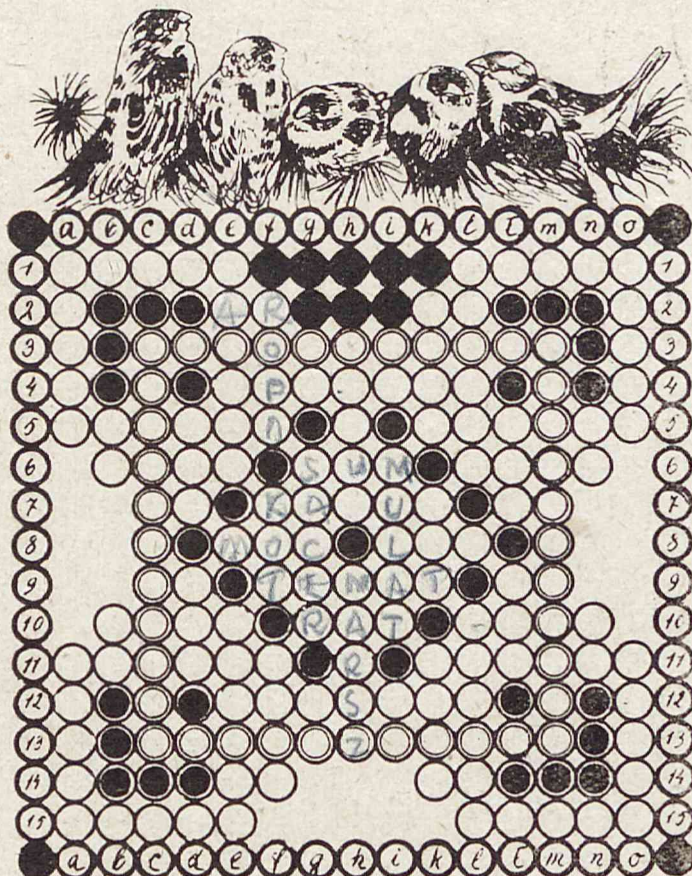
W biurze jednej z wytwórni odbył się pokaz dla fachowców świeżo sprowadzonego z Ameryki filmu p. t. „Niewidzialny Człowiek". Obraz ten, będący przeróbką głośnej powieści Wellsa, miał do rozwiązania trudną z punktu technicznego sprawę. Chodzi bowiem o przedstawienie na ekranie „niewidzialnego człowieka", a więc ukazanie postaci nieposiadającej realnych kształtów. Reż. James Whale, twórca „Frankensteina", operował tak umiejętnie światłami, dźwiękami i szmerami, że jakkolwiek nie widzimy tej postaci — to jednak obecność jej wyczuwamy całkiem ściśle. „Niewidzialny człowiek" jest zagadką kinematografji. W prasie zagranicznej spotyka się w związku z przeróbką powieści Wellsa wiele artykułów, poświęconych technice „Niewidzialnego Człowieka". Wspaniały ten film wyświetlany jest w kinie Filharmonja.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 5 (295) Krzyżówka

Ułożył Zenon Brenek

(Za rozwiązanie 10 punktów)



Znaczenie wyrazów poziomych: a) 1. Żołnierski płaszcz wełniany przytwierdzony na ramieniu klamrą. l) 1. Moneta w Annanie. c) 2. Miara powierzchni. k) 2. Wyrzyknik. c) 4. Sylogizm wątpliwy, nadający równą wartość dwom przeciwnym rozumowaniom. a) 5. Taniec hiszpański. k) 5. Rodzaj kwiatostanu. b) 6. Prawy dopływ rz. Maricy. g) 6. Gatunek ryby. l) 6. Miasto w Prusiech wschod. c) 7. Rzeka na Litwie. f) 7. Największa z rzek płd.-zach. Persji. ł) 7. Inicjał imienia i nazw. komp. polskiego. e) 8) Siła. i) 8. Ogólna nazwa bezludnych obszarów w Persji. c) 9. Spójnik łaciński. f) 9. Zdanie, myśl przewodnia. ł) 9. Inicjały autora „Płomienie u brzegów". b) 10. Wyspa na zach. wybrzeżu Sumatry. g) 10. Radca w języku obcym. l) 10. Marka samochodowa. a) 11. Wyspa na wybrzeżu Bengalji (Ind.-bryt.). k) 11. Haber. e) 12. Rzeka w Kanadzie płn.-wsch. e) 14. Inicjały im. i nazw. autora „Obok życia". k) 14. Inicjały nazwiska i imienia kompozytora polskiego. a) 15. Rzeka we Francji zach. l) 15. Słynny król Hunnów.

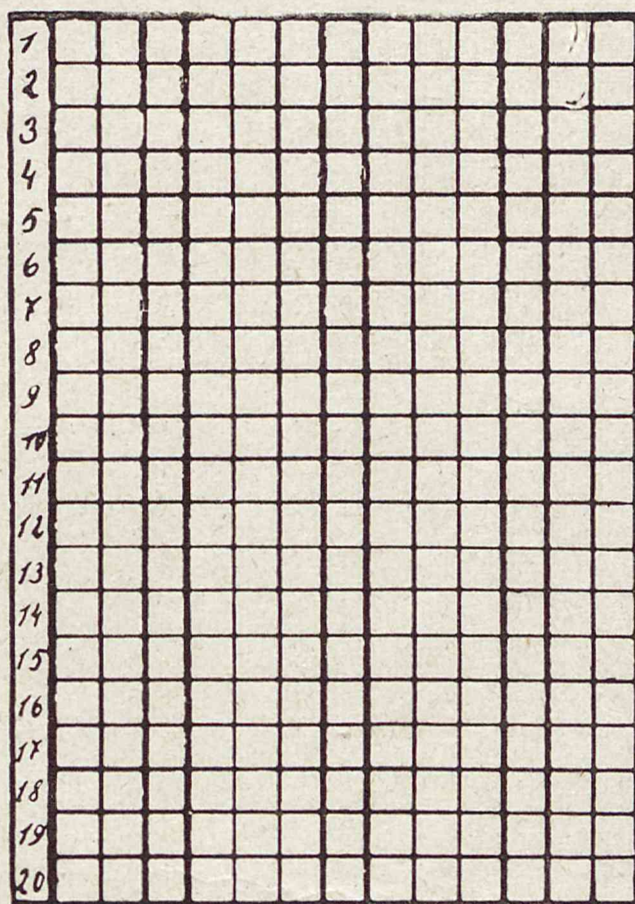
Znaczenie wyrazów pioniowych: a) 1. Powitanie muzułmańskie. e) 1. Gatunek ryby ościstej. l) 1. Pies. o) 1. Szynk, karczma. f) 2. Wydzielina z rany. k) 2. Nikt w jęz. martwym. g) 3. Nuta. h) 3. Imię męskie. i) 3. Przyimek. d) 5. Utwór liryczny. ł) 5. Lewy dopływ rz. Narwi. b) 5. Rzeka w Kurlandji. n) 5. Lit. fonet. g) 6. Święty w jęz. obcym. i) 6. Mieszaniec. f) 7. Zwierze domowe. k) 7. Wspust, żłobek. d) 9. Twierdzenie. h) 9. Regularny ruch wojsk w pewnym oznaczonym kierunku. ł) 9. Dowód tożsamości osoby. b) 10. Przysłówek. e) 10. Kieratowy czerpak wody, używany w Nubji do nadawniania pól. l) 10. Miasto portowe w zach. Azji Mniejszej (Turcja). n) 10. Zaimek. a) 11. Gubernator turecki. f) 11. W miejscu. k) 11. Dawny mieszkaniec Hiszpanji. o) 11. Szczyt górski w Afryce. g) 12. Przyimek. i) 12. Pytajnik (wspak).

Uwaga: Kółka oznaczone podwójnie dadzą rozwiązanie.

№ 6 (296) Zadanie kolumnowe

Ułożył L. Glaszmidt

(Za rozwiązanie 7 punktów)



W podaną figurę należy wpisać parami 40 wyrazów siedmioliterowych o wspólnej końcowo-początkowej literze. Litery w trzecim i jedenastym rzędach pionowych dadzą rozwiązanie. W jednym wypadku z = ż.

Znaczenie wyrazów: 1. Kluska płaska. — Roślina z rodz. złożonych. 2. Tłok w pompie. — Igrzyska rycerskie. 3. Łotr, nikczemnik. — Konnica. 4. Suche ciasteczka. — Starzyzna. 5. Epik włoski. — Szczątek, kawałek. 6. Cześć, poszanowanie. — Wymuszoność. 7. Powieściopisarz włoski. — Dialekt. 8. Kwiaty. — Rodzaj utworu literackiego. 9. Fortyfikacja. — Potrawa z kartofli i maku. 10. Długa dzida. — Zaczątek. 11. Skrót, konspekt. — Ozdoba retoryczna. 12. Grono, komplet. — Znakomitość w swoim zawodzie. 13. Miasteczko w pow. tomaszowskim. — Rodzaj minerału. 14. Jednogłośnie. — Sprzęt domowy. 15. Przysłówek. — Amerykanie. 16. Radość (wspak). — Powieściopisarz hiszpański. 17. Bóstwo staroż. (wspak). — Ranga wojskowa. 18. Skrócenie wyrazu. — Wywóz. 19. Niewielka wyniosłość. — Zaćmienie planety. 20. Miasto w Małopolsce. — Uczony.

Rozwiązanie zadań

№ 176 (278) WIRÓWKA.

1. Alepin. 2. Johore. 3. Lirima. 4. Pretor. 5. Omfale. 6. Iokast(e). 7. Tlenek.

a) Malaka. b) Kalaka. c) Lawabo. d) Karowa. e) Lufira. f) Woluta. 9. Rigolo.

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z. Tietz. Marja Strubel. N. K. Kozłowski. Jawna Kowalska. Dorota Herbstmanówna. Zenon Brenek. Romuald Żak. Kazimierz Lilpop. Fr. Wiśniewski. L. Glaszmidt. Jan Popławski. Zofja Suchecka (Radom). Wład. Stock (Pińsk). Józef Małecki. Baśka Żulińska (Częstochowa). Jan Rudziński (Kalisz). Helena Millerowa (Kraków). Ksawery Faliński. J. Zbyszewski (Kraków). Ant. Solecka. Wiktor Rawicz. Tadeusz Pomianowski. Feliks Siedlecki (Poznań). Gertruda Wolska. Jan Kowalski. Henryk Ostrowski. Tadeusz Ritter. Zofja Górska. Bolesław Nowak. Jerzy Halski. Wiktor Sawicki. Tadeusz Noskowski. Cecylja Lewandowska. Stanisław Tański. Karol Waldenberg (Łódź). Janina Rowińska. Ola Borman. Henryk Walewski (Lwów).

NAGRODY OTRZYMALI:

Zofja Górska (Warszawa) — książkę.

Redaktor *L. Chrzanowski* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa

R